Nr. 17. Warszawa, dnia 11 (23) Kwietnia 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

WOJNA W ROBOCIE.

W Waszyngtonie robią wojnę na gwałt. Po orędziu Mc Kinleya z d. 11 b. m. obie Izby kongresu wydały już z siebie objawy woli narodowej, że ma być wojna. Oba ciała przedstawicielskie, parafrazując orędzie we wszystkich punktach, wyłuszczających krzywdy, jakich doznaje Kuba, a przez nią i Stany Zjednoczone, na punkt stawiający pytanie: co robić?—odpowiedziały: wojnę. Dodany warunek dobrowolnego zadośćuczynienia przez Hiszpanię — jest czczym, bo wiary wprawdopodobieństwo spełnienia się swego nie wzbudza, nawet w najłatwowierniejszych. „Dżyngo" amerykański ostatecznie zwyciężył: wojna o Kubę uważana być ma za sprawę narodową. Nie przyszło mu przecież to zwycięztwo bez walki zaciętej pomiędzy pożądliwością zupełnie już rozpasaną a chciwością trzymaną jeszcze na lince rozsądku. Wywiązywanie się woli narodowej z chaosu żądz, przywidzeń i przekonań w obu Izbach było tak urozmaicone, że warto na nie rzucić przelotne spojrzenie.

Samo już orędzie jest aktem ciekawym. Prezydent, wyliczywszy krzywdy i postawiwszy dobre prawo do działania, jedyne wyjście z danego położenia na Kubie bez udziału Stanów Zjednoczonych, widzi w stłumieniu rokoszu siłą — a to w imię ludzkości i cywilizacyi. Tylko Stany Zjednoczone mogą trwale uspokoić wyspę: niech tylko kongres da środki, niech pozwoli użyć sił zbrojnych na lądzie i morzu. Uznawać *tak zwanej* rzeczypospolitej kubańskiej nie potrzeba; będzie na to czas, gdy się wytworzy rząd prawidłowy, dostatecznie silny. Bezzwłocznie potrzeba tylko zaopatrzyć zgłodniałych; i na to kongres fundusze dać powinien.

Senat natychmiast odesłał orędzie do swej komisyi i spraw zagranicznych. Nazajutrz już ta komisya złożyła projekt rezolucyi, czyli rozkazu dla rządu, art. bowiem I konstytucyi z r. 1787 w sekcyi III § 3 kongresowi przyznaje atrybucye sternika, instruktora władzy wykonawczej, a w sekcyi VIII punkcie 11 specyalnie wypowiadanie wojny, w punkcie zaś 18 wszelkie postanowienia potrzebne dla wykonania atrybucyj głównych dla kongresu zastrzega. Senat jest z prawa kontrolerem rządu w zakresie stosunków zagranicznych i bez niego żadnego posła zamianować, żadnego traktatu zawrzeć prezydent nie ma prawa (art. II, sekcya II § 2).

W obecnym wypadku z uprzywilejowanego stanowiska swego senat skorzystał hojnie, z istotnym szowinizmem. Komisya zażądała od Hiszpanii zrzeczenia się zwierzchnictwa nad Kubą, wyprowadzenia wojsk i flot z terytoryów lądowych i morskich. Naród kubański jest wolnym i niezawisłym z mocy naturalnych praw swoich, wolnym i niezawisłym być powinien. Mniejszość komisyi zażądała bezzwłocznego uznania rządu rewolucyjnego. *In pleno* przez pięć dni ścierały się z sobą oba wyżej scharakteryzowane prądy i dopiero d. 16 b. m. stanęła uchwała, nietylko upoważniająca, ale zobowiązująca prezydenta do użycia sił zbrojnych na lądzie i morzu dla uspokojenia Kuby: wyspa ma być zupełnie niepodległą, i do tego celu właśnie władza wykonawcza Stanów Zjednoczonych zmierzać powinna. Prawo użycia sił zbrojnych uchwalono 67 głosami przeciwko 25; niepodległość Kuby tylko 51 przeciwko 37. Do tych dwóch uchwał dla złagodzenia, jeśli nie samej polityki zaborczej, to przynajmniej wrażenia, jakie ona na Kubańczykach sprawić-by mogła, dodano zapewnienie, że Stany Zjednoczone nie chcą wyspy dla siebie; gdy się wszystko uspokoi i ułoży, „perła Antyllów" będzie zupełnie wolną i od nikogo niezawisłą. Głosowanie nad tym dodatkiem wykazało 67 gł. *za*, 21 *przeciw*.

Komisya Izby reprezentantów d. 12 b. m. zażądała tego samego, co i komisya senatu, z wyjątkiem niepodległości Kuby. Mniejszość jej chciała uznania bezzwłocznego i bezzwłocznej też zbrojnej pomocy. D. 13 b. m. sama Izba zamieniła tę propozycyę na uchwałę 324 gł. przeciwko 20; wnioski mniejszości komisarzy odrzuciła 191 gł. przeciwko 150. Zamiast zobowiązywać prezydenta do użycia sił zbrojnych, jak uczynił był senat, Izba reprezentantów użycie to tylko mu zaleciła.

Uchwały zatem nie zgadzały się między sobą; trzeba je było pogodzić. D. 18 b. m. Izba reprezentantów dostawszy uchwałę senatorów, wyrzuciła z niej niepodległość Kuby (179 prz. 55) i odesłała ją napowrót do senatu. Senat tak okaleczoną rezolucyę swoją odrzucił (43 prz. 34). Wtedy Izba zaproponowała wspólne kongresowe posiedzenie, ale senat i na to przystać nie chciał. Po tej odmowie Izba odrzuciła już całkowitą rezolucyę senatu (172 prz. 148) i uchwaliła porozumienie się przez delegatów *ad hoc*. Ci zeszli się, ale niczego nie dokazali. Senat odmówił wybrania nowych i dopiero po długich zwłokach pierwotni delegaci zgromadzili się na nowo i wyrzucili ową niepodległość Kuby. Już nad ranem d. 19 b. m. senat 42 gł. prz. 35 uległ przed reprezentantami, którzy 310 gł. prz. 6 powtórzyli swą uchwałę, a gdy już była, pieśniami patryotycznemi ją powitali.

Tydzień polityczny. Wojna nabrała większego prawdopodobieństwa. Obie strony się zbroją, wyzywająca i wyzwana. Stany Zjednoczone wysłały już 18,000 wojska z 96 działami na pobrzeże zatoki Meksykańskiej. Plan opanowania Kuby przewiduje użycie 118 tysięcy: 100,000 zatem jeszcze braknie; ma on już być zupełnie gotowy. Wojska stałego ma

rzeczpospolita 26,000: pozostało jej jeszcze 8, milicye są bardzo luźne, a do wysokości 400,000 kongres pozwolił już je uruchomić. Siły lądowe Hiszpanii w gotowym już żołnierzu, są wyższe: około 300 tys., z tego na Kubie, która pożarła 520 tysięcy, jest jeszcze, jak zapewnia Blanco — 100. Siły morskie na liczbę są prawie równe, a liczba tonn i koni parowych nic nie znaczy w mechanicznem zestawieniu. Na krótko Hiszpania może mieć nawet przewagę; na dłużej nie dotrzyma. Tak zwane siły są tylko materyałem dla siły rzeczywistej, dla człowieka, dla jego talentu, męztwa, porządku i wytrwałości: jakim ten człowiek będzie po jednej i po drugiej stronie, taką będzie i speranda powodzenia.

Dowódcą naczelnym z prawa jest sam prezydent rzeczypospolitej. Delegatem jego ma być generał Miles, a dowódcą przybocznym Shoofield, weteran z 1861—5.

Nowy kongres kortezów hiszpańskich d. 20, o 5 dni wcześniej, niż zamierzono, zebrał się na czynności: stosunek do Stanów Zjednoczonych wszystkie inne zadania odsuwa na razie. Rząd postanowił nie ustąpić.

D. 20 b. m. zebrała się i Rada państwa w Wiedniu — na to tylko, aby stwierdzić jeszcze raz swą niemoc. W końcu b. m. rozpoczną działalność swą tegoroczną delegacye. Hr. Thun chce podobno Izbę deputowanych rozwiązać. Pogłoski o nieporozumieniu ces. Fr. Józefa z Gołuchowskim o zachowanie się w sporze hiszpańsko-amerykańskim przepowiadały już dymisyę kanclerza. Tymczasem kanclerz wraz z cesarzem wyjechał do Drezna na jubileusz króla Alberta i tam spotka się z ces. Wilhelmem.

Turcy zaczynają się wynosić z Tessali. Kreta ciągle czeka na łaskę turecką; Dżewad-pasza jedzie do Petersburga w umyślnej misyi z upominkami. Sułtan wyśliznąć się chce koniecznie, aby Kreteńczyków nic nie dać.

D. 8 b. m. Anglicy przy ujściu Atbary do Nilu pobili Derwiszów — zwycięztwo większego znaczenia.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Towarzystwo Hygieniczne.

Ministeryum zatwierdziło ustawę Towarzystwa hygienicznego dla Królestwa. Nie znamy jej szczegółów; nie możemy więc nic powiedzieć o zakresie działalności nowej instytucyi. Wiemy tylko, że zadanie jej powinno być olbrzymie, a znaczenie — doniosłe. Z tego wynika, że nie może to być stowarzyszenie fachowców, otoczone wysokim murem cechu, ale instytucya społeczna, w której powinny wziąć udział wszelkie warstwy, stany i zawody. Pod względem hygieny życiowej jesteśmy zupełnie zaniedbani, co przy braku zamiłowania do czystości jeszcze bardziej pogarsza warunki. Otóż zdaje się, iż Towarzystwo będzie musiało przedewszystkiem podzielić swą działalność na dwa zasadniczo kierunki: 1) oświecać i zachęcać ogół do czystości i życia o ile można zdrowotnego i 2) walczyć z wszelkiemi przeszkodami hygieny, torować jej drogę w życiu. Pierwsze zadanie, jako przeważnie teoretyczne, będzie łatwiejsze. Głównie tu chodzi o wydawnictwa książeczek, przystępnie opracowanych, odczyty popularne, zabiegi o wprowadzenie wykładu hygieny do szkół średnich, a nawet początkowych.

Trudniejsza druga część zabiegów, gdyż tu one wkraczają w najróżnorodniejsze sfery życia i jego urządzeń. Gdy np. weźmiemy hygienę miasta wielkiego, a szczególnie ogniska wielkiej produkcyi, znajdziemy najcharakterystyczniejsze i najbardziej krzyczące pogwałcenie wszelkich praw życia zdrowego licznych rzesz, wprzęgniętych do pracy mozolnej. Prawda, istnieje „hygiena fabryczna,“ tj. dozór administracyjny, specyalnie stworzony do przestrzegania „porządku zdrowotnego“ w fabrykach i zakładach przemysłowych. Trzeba jednak być naiwnym, żeby uwierzyć, że ten dozór — to cudowna bogini Hygiea, która odbywszy wędrówkę po warsztatach ze swą czarą i wężem, pozostawia tam tchnienie zdrowia i sił niespożytych.

Otóż w tej dziedzinie Towarzystwo hygieniczne najwięcej przeszkód napotka. Nie potrafi ono jednym pochodem, choćby najliczniejszych i najwytrwalszych członków swej armii, wyrwać złe z jego rdzenia. Nie potrafi zniszczyć wszystkich podziemi i nor, przeznaczonych na mieszkania dla ludzi pracujących; nie zmusi właścicieli domów, przejętych gorączką zysku, do zniżenia ceny mieszkań, ażeby ludność uboga mogła w przestronniejszych i zdrowszych pomieszczeniach zaznać trochę słońca i powietrza. Ale bądź co bądź, przy nadzwyczajnych zabiegach i najszerszym rozwoju, potrafi stworzyć pewną oporność organizmów ludzkich nawet w ciężkich warunkach pracy i bytu. W tym zakresie Towarzystwo hygieniczne powinno rozwinąć jak najenergiczniejszą działalność społeczną, nie gardząc nawet półśrodkami ratunku; a więc nietylko przyczyniać się swymi zabiegami do budowy domów z przestronnemi i taniemi mieszkaniami dla ludności ubogiej, ale ujawniać także wszelkie niedołęztwo i niedbalstwo gospodarzów miejskich, zmuszać ich, naciskiem moralnym, do większej energii lub w razie jej braku — do ustąpienia ze stanowiska, żeby je zajęli ludzie pożyteczniejsi.

Gdybyśmy zechcieli choć pobieżnie naszkicować dzieje gospodarki naszych miast i miasteczek, moglibyśmy podać mnóstwo faktów, świadczących, jak dalece zdrowie ludzkie cierpiało i cierpi na niedbalstwie i niedołęztwie tej gospodarki.

Wszędzie, we wszystkich zbiorowiskach życia ludzkiego, mniejszych czy większych, widzimy to samo. Ludność kołacze o rzeźnię racyonalną, o ścieki, o oczyszczenie placów, kanałów zamiejskich, wód stojących, o usunięcie ze śródmieść fabryk szkodliwych, o bruki zapobiegające tumanom kurzu — i lata całe upływają w oczekiwaniu płonnem. Tu i owdzie próbują coś robić, a w gruncie rzeczy nic nie robią. Urządzeń zdrowotnych nie widać, ale za to są rażące swym ogromem kolumny cyfr w rubryce wydatków niepotrzebnych lub pozorujących jakąś działalność.

Podaliśmy tych kilka ogólnych przykładów, chcąc wskazać, jak daleko zjawiska ekonomiczne tudzież gospodarka miejska ściśle się łączą ze sprawami zdrowotności społecznej, jak wysokie szczeble dostrzegalni swojej powinno wznieść To-

---

49)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Drugim obowiązkiem każdego katorżnika — jest pomoc zbiegom. Więzienie chowa ich pomimo niebezpieczeństwa dla siebie. Przy mnie w łaźni więzienia rykowskiego pojmano ukrywającego się tam zbiega z tegoż więzienia, ważnego zbrodniarza. Więźniowie nosili mu tam jeść. Najuboższy i najgłodniejszy katorżnik odda zbiegowi ostatni kawałek chleba. Takie prawo katorgi. Tem tylko można wyjaśnić np. fakt dziwny: zgroza i postrach całego Sachalinu, Szirokołobow, zbiegły z turmy aleksandrowskiej, całą zimę przemieszkał w więzieniu rykowskiem. Katorga ukrywała go i karmiła, narażając własny grzbiet i dzieląc się ostatkami.

Za niezachowywanie tych dwu świętych obowiązków katorżnika, karą jest wzgarda powszechna. A wyrazem wzgardy powszechnej na Sachalinie jest powszechne bicie. „Taki człowiek — „cham,“ bić go można i trzeba jak najczęściej!“

Kodeks cywilny katorgi jest prosty i krótki. Skazańcy pozwalają członkom swoim zawierać wzajemnie wszelkiego rodzaju umowy i żądają tylko jednego warunku: ażeby zawarta umowa była święcie spełniona. Gdyby nawet układ taki był najokropniej oburzający, katorga jest obojętną:

— Sam wlazłeś!

Ponieważ „ojcowie,“ „majdaniarze“ i „gospodarze“ są to ludzie płacący katordze, więc ona zawsze ich stronę trzyma i jeśli dłużnik nie płaci — odbiera od niego ostatki i jeszcze „nalewa mu jak bogatemu.“ To utrzymuje kredyt w ich świecie. Często człowiek, który pożyczył „na rolę,“ tj. sprzedał swoją porcyę chleba na pół roku, albo i na rok, z głodu umyślnie dopuszcza się zbrodni, ażeby go wtrącili do karceru samotnego: tam nikt mu nie odbierze jego kawałka chleba za dług! Oto przyczyna wielu zbrodni i występków pośród katorżników, a zwłasza wykroczeń drobnych: naprzykład „niczem niewytłomaczonych“ zuchwalstw względem zwierzchników. Gdy atoli zamiast zamknięcia w kozie wymierzają chłostę, wtedy trzeba popełnić cięższą zbrodnię, ażeby się dostać do samotnej celi „śledczej,“ gdzie dadzą jeść. Uwolnić się zupełnie z długów nad siły można tylko jednym sposobem — ucieczką. To jedyne zbawienie, jedyna możność zmiany losu. Katorga traktuje ucieczkę z najwyższą sympatyą i uszanowaniem. Skoro więzień uciekł, wszelkie jego zobowiązania i długi są raz na zawsze umorzone. Często człowiek, wplątany w matnię takich zobowiązań, ucieka bez wszelkiej nadziei wydostania się na swobodę. Przewłóczywszy się dwa tygodnie, prawie umierający z głodu, do krwi podrapany w kolącej tajdze, ziębnięty, w łachmanach wraca tam, skąd uciekł. Otrzymuje przedłużenie terminu, „nagrodę“ i własnem ciałem płaci za zrobione długi. Lecz za to wszystkie są wykreślone i on znowu staje się człowiekiem posiadającym kredyt. Oto pochodzenie wielu sachalińskich „ucieczek,“ które zdumiewają administracyę więzienną.

Lecz po co i w jakim celu oni uciekają?

Kodeks kryminalny katorgi jest równie prosty i krótki.

„Kradzież“ — takiej zbrodni katorga nie zna. W języku jej „zbrodnią“ jest tylko zabójstwo. I jeśli, przypuśćmy, człowiek, osądzony za zbrojną kradzież, mówi:

— Żadnej zbrodni nie popełniłem!

warzystwo hygieniczne, ażeby mogło objąć ten widnokrąg szeroki.

Ze sprawami hygieny związana jest również dzisiejsza gorączka spekulacyjna w budownictwie, niedbałe wznoszenie domów, nieuwzględnianie potrzeb zdrowotnych. W budownictwie miejskiem niema wprawdzie spekulacyi ale istnieje głęboko zakorzeniona tradycya wznoszenia domów mieszkalnych i wszelkich budowli z pogwałceniem elementarnych zasad hygieny. Śród ludu towarzystwo hygieniczne miałoby bardzo szerokie pole działalności. Musiałoby wypleniać chwasty zastarzałych pojęć i nawyknień w całym trybie życia.

Oczywiście tak różnorodna czynność i rozległe zabiegi muszą przyciągnąć możliwie najszersze warstwy społeczeństwa oświeconego. Ze względu jednak na to, że Towarzystwo potrącałoby o różnorodne sprawy takich grup ludzi, którzy na wyzyskiwaniu zdrowia społecznego robią dobre interesy, działalność ta byłaby narażona na wiele przeszkód i przykrości. Powitanoby ją wrogo, zasypanoby kartaczami dowodzeń i knowań podstępnych. Tem zaszczytniejsze zadania społeczne dźwigałaby nowa instytucya.

Czy jednak to wszystko ona obejmie i tak zrozumie swoją rolę? — Głębokie i poważne traktowanie potrzeb i zjawisk życiowych — wymaga tego. Traktowanie zaś takie może wyjść tylko ze sfery ludzi światłych, na których musi się oprzeć Towarzystwo hygieniczne. To jest właśnie rękojmia, że chociaż część rozsnutych przez nas zadań obejmie ono poza fachowością hygieniczno-lekarską. Zdrowotność społeczna nabiera coraz poważniejszego znaczenia, tak dalece, że się domaga nowego steru w ognisku zośrodkowującem wszelkie sprawy ludności wielomilionowej. Dziś skromny departament lekarski już nie wystarcza więc zaprojektowano stworzenie ministeryum zdrowia publicznego. To także jest rękojmia, że hygiena społeczna, jako wielka i poważna dziedzina spraw ludzkich, powinna być rzetelnie i szeroko traktowana. Wprawdzie nowa instytucya przy największej sprężystości i najszerszych prawach, jak zaznaczyliśmy wyżej, nie wprowadzi przemian zasadniczych w urządzeniach bytu, ale może niedomagania, wynikające z tych urządzeń, znacznie złagodzić i tem samem utorować szerszą i prostrzą drogę postępowi społecznemu.

Z GALICYI.

Przykład stosunku innych prowincyj Austryi do Galicyi. — Gimnazyum w Cieszynie i—zapach prywaty. — Inny prąd w Wiedniu. —Coś podobnego do niełaski Stańczyków. — Pogłoski o dymisyi Stanisława Badeniego i Bobrzyńskiego.

Niejednokrotnie robiłem uwagę o zbytniej naszej powolności względem rządu wiedeńskiego. Ta powolność, przechodząca w politykę utylitarną grup i jednostek, prowadzoną w imieniu kraju, była powodem krytyki nietylko z mojej strony, tem bardziej że racyi po temu nie brakło nigdy. Hasło — „nie robić trudności rządowi,“ rozumne i pożyteczne w normalnych warunkach państwowych stało się nieraz zbrodniczem, gdy nasza reprezentacya patrzyła przez palce lub starała się najlepiej wytłomaczyć, a zawsze z ostateczną szkodą tego nieszczęsnego kraiku, najgorsze wybryki niemieckiego protekcyonizmu. A odnosiło się to zarówno do polityki, jak i do dziedziny ekonomicznej. Niemcy narzekali głośno, że Polacy w rządzie wiedeńskim górę biorą; był to wszakże krzyk znanego pasterza, wołającego zawsze: wilk! wilk! Gdy niedawno jeden z niedowiarków obliczył wyższych urzędników Polaków w Wiedniu, pokazało się, że każde ministeryum — z wyjątkiem rolnictwa— posiada tylko jednego radcę, a rzadko które sekretarza sekcyi. Dowodzi to z jednej strony, że wrzaski niemieckie mają w sobie więcej nienawiści i obawy, niż prawdy, a następnie że my z właściwą nam trwożliwością od wysokich stanowisk usuwamy się. Istotnie, takie dążenie panuje śród naszych mężów stanu. Oczywiście, że tego rodzaju bierność polityczna nie zapewni Galicyi nigdy poważnego stanowiska w rządzie, że kraj będzie zawsze na łasce mniejszości niemieckiej i że wysunięcie się tego lub owego figuranta na pole polityczne nie przynosi żadnego pożytku krajowi. Skutkiem braku swoich sił w rządzie, nie mamy tam ani obrońców, ani opiekunów i jesteśmy poprostu krajem wyzyskiwanym przez resztę państwa.

Ażeby dowieść tej tezy, przejdę od wielkiej polityki do małej i postaram się dać pojęcie o tem, w jaki sposób Niemcy wyzyskują Galicyę. Posłużyła mi do tego niedawno wydana broszura Strzemieńczyka p. t. „Uwagi ziemianina.“

Rozwinął się u nas w ciągu ostatniego dziesięciolecia chów bydła i świń. Jest w tem zasługa długoletniej pracy Towarzystwa rolniczego, które dużo w tym kierunku położyło zasług. Z broszury tej zaczerpnę kilka dat faktycznych. Pisał ją nie „obcokrajowiec,“ tj. ktoś z Królestwa lub Poznania, lecz prawdziwy t. zw. „Galicyanin.“ Zatem: posiadamy 2½ mil. sztuk bydła rogatego i około 1 mil. sztuk świń. Wartość rocznego wywozu bydła w ciągu ostatnich lat wynosiła 9—19 mil. złr., a świń — prawie drugie tyle. W r. 1894 liczba ta doszła nawet wysokości 24 mil. złr. Licząc przeciętnie na rok po 15 mil. złr. dla każdej kategoryi, otrzymamy wartość wywozu z tej dziedziny 30 mil. złr. rocznie.

Zdawałoby się, że kraj, posiadający tak znaczny dochód, będzie usilnie go bronił za pośrednictwem swoich posłów, a rząd centralny będzie ochraniał produkcyę. Nic podobnego jednak nie dzieje się u nas. Jeden naczelnik wydziału w ministeryum rolnictwa stokroć więcej może zaszkodzić, niż wszyscy posłowie polscy pomódz, a szkodzić może zupełnie *legalnie*. Istnieje u nas t. zw. ustawa weterynaryjna z r. 1880. Wogóle wszyscy uważają ją za szkodliwą, w szczególności zaś przepisy wykonawcze, dotyczące zarazy pyskowej i racicowej. Przepisy to posłużyły, dzięki swojej elastyczności a braku obrony, różnym krajom austryackim do wyzyskiwania Galicyi zupełnie — legalnie. Dzieje się to zresztą zawsze, gdy się stosuje paragraf prawa zamiast jego treści. Skutkiem tego paraliżuje się pożyteczna działalność ku podniesieniu chowu bydła i wogóle zwierząt domowych, bo zamyka się granice wewnętrzne przy lada sposobności, a rząd centralny zamiast podnosić bogactwo krajowe, sam je niszczy.

W tej nieświadomej pracy rządu wie-

Wcale to nie oznacza „upartego zapierania się.“ Poprostu jest to rozmowa w dwu różnych językach: on nie zabił nikogo, czyli że „zbrodni“ nie było. Natomiast często na Sachalnie słyszeć można:

— Za rozbój bez zbrodni.

— Za rabunek bez zbrodni.

— Za napad zbrojny gromady bez zbrodni. Kradzież jest bagatelą. Tam, gdzie wszyscy popełniają bezprawia, staje się ono prawem. Katorga pozwala poszkodowanemu rozprawić się ze złodziejem albo nająć ludzi, którzyby go obili. Lecz jeżeli złodziej zaczyna już wszystkich okradać, wtedy całe więzienie napomina go. Wszelkie sprawy tego rodzaju muszą kończyć się w więzieniu sądem samowolnym. Katorga nie uznaje władzy. Każda skarga do niej zaniesiona, bez względu czy oskarżony winien czy nie — kończy się dla oskarżyciela, albo denuncyanta, najokropniejszem pobiciem. Tu niema różnicy zdań, ani wyjątków. Biją wszyscy: jedni przez zemstę, drudzy ze złości, inni „dla porządku,“ jeszcze inni ot tak sobie: trzeba przecież rozerwać się czemkolwiek. Niektórzy „dla przyzwoitości“: nie bić go, to powiedzą: „sam musi być taki!“

Teraz wkraczamy w najbardziej ponury dział „statutu“ katorgi, gdzie brzmi tylko jedno słowo: „śmierć.“ Te prawa chronią zbiegów od niebezpieczeństwa.

Każdy, kto wiedząc o przygotowanej ucieczce, uprzedzi władzę albo wskaże kryjówkę zbiegów, podlega karze śmierci. Choćby dla bezpieczeństwa przeniesiono denuncyanta do innego więzienia, katorga potrafi i tam zawiadomić skazańców o popełnionym występku i człowiek taki nie uniknie śmierci.

Jeżeli zbieg, pojmany i przyprowadzony do tegoż samego więzienia, podaje się za „włóczęgę niepomnego,“ nikt pod groźą śmierci nie ma prawa „poznać“ go, czyli zdradzić prawdziwego imienia. Temu niewzruszonemu prawu podlegają nietylko katorżnicy, lecz i dozorcy, nigdy nie zdradzający „włóczęgów,“ którzy pod ich kontrolą siedzieli. To prawo uwzględniają i inni oficyaliści, nieskorzy do „poznawania“ powracającego zbiega:

— Któż zechce się narażać na pchnięcie nożem w bok?

Do posterunku korsakowskiego przywieziono z Macmaja, brzegu japońskiego, kilku zbiegów, którzy zdołali tam się dostać. Udawali „cudzoziemców“ i paplali jakiemś narzeczem niezrozumiałem, ledwie się powstrzymując od śmiechu na widok przyjaciół-katorżników i starych znajomych, dozorców. Ale nikt ich nie zdradzał:

— Pierwszy raz widzimy!

Dopiero gdy im dokuczy ta mistyfikacya, sami się odsłaniają.

Opowiadał mi jeden z oficyalistów rzecz następującą:

— Przyprowadzają nam do posterunku włóczęgę. Patrzę: ależ to on u mnie służył jako lokaj, będąc katorżnikiem. Myślę tedy: odsłonić prawdę, czy też nie? Poprosiłem, ażeby pozostawiono mię z nim sam na sam. Śmieje się: „Witam — mówi — jaśnie wielmożny panie! Jak zdrowie?“ — „Cóż ty — mówię — nie masz zamiaru ujawnić swego nazwiska?“—„Nie myślę!“— „Ależ ciebie tu połowa ludzi zna. Zdradzą!“ — „Nikt nie zdradzi, niech pan będzie spokojny!“ — „Ja przecież pierwszy powinienem odsłonić twoje nazwisko. Nie mogę zataić!“ — „Cóż — mówi — proszę odsłonić, jeżeli pan chce!“ I patrzy na mnie wyzywająco. Męczyłem się ze dwie godziny, zanim zdołałem przekonać go, że incognito swego nie utrzyma, że korzystniej będzie, gdy się samprzyzna: mniejsza kara go czeka. Z wielkim wysiłkiem zwyciężyłem: „Dobrze — powiedział — przyznam się!“

Pamiętam wystraszoną twarz mojego furmana, który mię woził często i obdarzał sympatyą, gdym powiedział

— Widziałem Szirokołobowa (zbiega)

deńskiego bardzo gorący udział bierze naczelnik wydziału biura weterynaryjnego, Niemiec Sperk. Ten dygnitarz znany jest jako szowinista niemiecki, wróg Galicyi a centralista z zasad politycznych. On to prowadzi kampanię antigalicyjską z całą samowolą. Często pojawia się w dziennikach wiedeńskich pogłoska, że w jakimś powiecie panuje zaraza pyska — pogłoska zupełnie fałszywa, rozmyślnie nieraz puszczona, i wnet granice zamyka się, a bydło wysłane podlega kosztownej obserwacyi. Jeżeli w pewnej partyi okaże się jedna sztuka chora — cały transport zwraca się — i ruina, albo straty duże są już gotowe. Działalność antigalicyjska p. Sperka tak się podobała, że namiestnictwa Czech, Moraw, Szlązka, Austryi, same wydają t. zw. „zakazy“ przywozu bydła, bez sprawdzania na miejscu choroby. W innych miastach zwierzęta chore mają być zabite w ciągu 48 godzin, a galicyjskie czekają 5 dni. Naturalnie, że wobec takich warunków, a właściwie samowoli, bo zdarza się, że namiestnictwo (w Salzburgu) na podstawie stwierdzenia choroby jednej sztuki zabroniło zupełnie przywozu z Galicyi, handel zwierzętami galicyjskiemi na rynkach zachodnio-austryackich prawie niemożliwy. Co smutniejsze, że nadużycia powyższe dzieją się pod formą niby prawną.

Tak traktowany towar galicyjski, narażając na ogromne, bo kilkamilionowe straty kraj cały, zniechęcając do prawidłowej produkcyi, obniża jej cenę na korzyść krajów, biorących udział w zubożaniu Galicyi. Normalnie kilogram żywej wagi mięsa kosztuje w Wiedniu 30 c., odąwszy od tego jedynie zniżkę na szykanę, tj. stosowaną do bydła, znajdującego się już na targu, 3—5 c. na kilogramie, otrzymamy coroczną stratę 3—5 mil. złr.

A społeczeństwo nasze? — zapytuje autor broszury. Ono, niestety, ciągle jeszcze żali się tylko na „szwabów niegodziwców“ lub bezzasadnie wyrzeka na nowych weterynarzów. Brak nam poprostu zrozumienia rzeczy, brak energii do systematycznej, uplanowanej walki z tą tak zabójczą „polityką zarazy,“ a właściwie z bojkotem naszego kraju przez cały zachód monarchii austryackiej.

Tak jest. Kto wie, czy to nie jest istotnie smutna „polityka zarazy,“ która oddawszy najlepsze siły na usługi rządu wiedeńskiego, dla kraju ma tylko — dobre chęci.

Gimnazyum polskie w Cieszynie, na którem pokładano tyle nadziei, patrzono jako na początek wyswobodzenia się z pod przewagi garstki urzędników i kupców niemieckich, stało się teraz przedmiotem publicznej rozprawy. Trzech nauczycieli gimnazyalnych wypowiedziało naraz posady, motywując swój kroktem, że z jednej strony są zbyt krępowani, a z drugiej usuwani systematycznie od współpracy — jako „obcokrajowcy.“ Doprawdy, coś rozdzierająco smutnego jest w tem wszystkiem. Co stworzyła wspólna praca, to rozbija idea seperatyzmu, tak troskliwie wypielęgnowana i dotychczas pielęgnowana przez Austryę. Jest to ten klin, który rozsadza najpotężniejsze organizmy i osłabia je. Jakże się muszą cieszyć Niemcy, widząc rezultaty swoich usiłowań i dążeń! Nieszczęściem na czele narodowych interesów Szlązka stoją ludzie trwożliwi pod względem charakteru, a niewyraźni pod względem przekonań politycznych. Taką postacią jest teraźniejszy prezes Macierzy, monsignor Swieży. Jest on już mocno nie-świeży i dobrzeby zrobił, gdyby oddał przewodnictwo w ręce zdolniejsze. Brak stanowczości jest w tym człowieku tak wielki, że bezwiednie staje się on narzędziem cudzej woli. Nie idzie z wypadkami i walczy, ale wypadki go unoszą. Kiedy powstała wrzawa o to, że p. Gautsch nie chce otworzyć gimnazyum w Cieszynie, a o brak nacisku posądzano Koło polskie, ksiądz Swieży wystąpił z Koła. Ten krok niezręczny, nietaktowny i niepotrzebny odkrył słabe strony próżnego i ambitnego księdza, który źle zastosował swoją ambicyę. Wystąpieniem swojem sprawił przykrość nie Kołu, bo tam był niczem i jest niczem (później wstąpił znowu), ale tym wszystkim, którym idea polskiej narodowości na Szlązku jest drogą. Zapomina on widocznie o tym łączniku, jaki związał społeczeństwo szlązkie z resztą kraju i o tem, że będąc prezesem Macierzy, reprezentuje coś więcej, niż interesy pewnego kółka. Teraz w walce z biskupem wrocławskim, który przemocą rozszerza wpływ germanizatorski i pazury niemieckie na Szlązk, staje po stronie zwierzchnika, zjadającego owieczki Monsignora. Wszystko to bardzo, bardzo — niepomętne, że powiem najgrzeczniej. W ostatniej chwili profesorowie cofnęli dymisyę — burzę zażegnano, czy na długo?

W parlamencie wiedeńskim zapanowało dążenie pokojowe, czyli mówiąc inaczej, szala zwycięstwa przechyla się na stronę Niemców. Nigdy może wyraźniej nie zarysowała się dwulicowa polityka austryacka: zasada badeniowska równouprawnienia językowego w Czechach została, ale jak poczną ją tłomaczyć i ozdabiać dodatkami, to pod ich nawałem zginie. To jedno nie ulega wątpliwości, że cicho poczęto się liczyć w parlamencie z opozycyą polską, prowadzoną w kraju i za pośrednictwem dziennikarstwa, o tyle przynajmniej, że, jak się zdaje, postanowiono na razie zmienić ludzi, stojących u steru bądź w Galicyi, bądź w Wiedniu. Wygląda to trochę na niełaskę Stańczyków. Ministrem dla Galicyi został p. Jędrzejewicz, o którym tyle tylko powiedzieć można, że jest panem Jędrzejewiczem. Podobno jest to człowiek dobry, łagodny, potulny, niewymagający, w wynalazki nie bawi się, do wszelkich ustępstw skłonny, było zostać ministrem — jak raz dla Galicyi. Księciu Sanguszce w mundurze namiestnikowskim było bardzo nie do twarzy, wysoki kołnierz cisnął go — sądzę przeto, że z przyjemnością go zdjął. I dobrze zrobił. Galicya tak przesiąkła wyziewami wiedeńskimi, że w atmosferze dzisiejszej pływają po wierzchu tylko karyerowicze. Miejsce jego zajął p. Piniński — hrabia tej samej formacyi, co Badeniowie, Koziebrodzcy, Siemieńscy i w. in. Oprócz tego, że jest znany jako profesor uniwersytetu lwowskiego, bardzo zdolny prawnik, który egzaminował młodzież z nogą założoną na górną poręcz fotelu, uchodzi za wybitnego „parlamentarzystę.“ Czem on będzie? Zobaczymy niezadługo. W tej chwili odbiera hołdy tryumfalne od tych, którzyby radzi byli pozyskać jego łaskę. Życzę im powodzenia.

We Lwowie obiega uporczywie pogłoska o dymisyi marszałka krajowego, p. Stan. Badeniego. Kraj na jego prezydenturze w Wydziale nie nie zyskał, na dymisyi zyskać może. Patrząc na to, co robi i jak się zachowuje, mogę śmiało powiedzieć z Krasickim: Wielbię króla, czczę urząd, lecz ganię człowieka. Żaden z ostatnich marszałków z taką pompą dziennikarską, jak p. Badeni, nie siadł na krześle marszałkowskiem i żaden w krótkim czasie tak się nie zdepopularyzował. Nie jestem zazdrosny: niech sobie p. Badeni zdobędzie jeszcze tytuł książęcy i drugie tyle majątku.

Mówią także, że p. Bobrzyńskiego, prezesa rady szkolnej, zastąpi p. L. Piętak, profesor uniwersytetu lwowskiego. Może.

Nawet drgnął, nieborak; przestraszył się o mnie.

— Na Boga, panie, proszę o tem nikomu nie mówić! Będzie bieda!

Uspokoiłem go, oznajmiając, żem zażartował.

To obowiązkowe, ogólne milczenie względem zbiega dodaje nadziei więźniom sachalińskim podczas ucieczki. Niewielu ucieka z nadzieją dotarcia do Rosyi — ale każdy spodziewa się „zmiany losu“: udać włóczęgę i zamiast dziesięcio lub dwudziestoletniej katorgi, odbyć półtoraletnią.

Za zabicie katorżnika przez katorżnika skazańcy nie zawsze karzą śmiercią. Za zamordowanie zaś „towarzysza“ przez katorżnika — zawsze i koniecznie. Ale i „towarzysze“ są różni. Często katorżnik, który popełnił zabójstwo w więzieniu, na pytanie: „Jakże można — towarzysza?“ — odpowiada ze zdumieniem:

— Jakimże on dla mnie był towarzyszem?

I nawet obrazi się śmiertelnie:

— Czyżbym ja mógł zabić towarzysza?

Tutaj znowu różne znaczenia wyrazów: „Towarzysz“ — to na katordze wielkie słowo. Zawiera się w niem treść umowy na śmierć i życie. Towarzysza przybierają w celu spełnienia zbrodni. Przybierają bardzo ostrożnie, bo dostatecznem wypróbowaniu. Staje się on jak gdyby rodzoną, najbliższą drogą istotą w świecie. Zaam mnóstwo przykładów pielęgnowania towarzysza chorego lub ranionego w ucieczce, z wzruszającą tkliwością. Katorżnicy traktują tych ludzi z szacunkiem i miłością, a nawet listy piszą nie inaczej, jak tylko w ten sposób: „Najukochańszy nasz towarzyszu!“ Poszanowaniem i iście braterską miłością naczechowano są wszelkie z nim stosunki.

Zamordowanie towarzysza w więzieniu należy do bardzo ciężkich zbrodni. Zabójstwo zaś jego z celem rabunku podczas ucieczki, jest zbrodnią najcięższą.

We wszystkich więzieniach sachalińskich, w celach „śledczych,“ znaleźć można najnieszczęśliwszych ludzi w świecie, oczekujących jako kary, swego uwolnienia z tego zamknięcia. Są tam napół obłąkani ze strachu, którzy doszli do manii prześladowczej. Wszystko to ludzie podejrzani przez katorgę o zdradę zorganizowanej ucieczki, o wskazanie miejsca, gdzie się skrył zbieg, o wykrycie istotnego nazwiska włóczęgi, o zabójstwo towarzysza podczas ucieczki. Nic też dziwnego, że pod ciągłą grozą mogą wpaść w obłęd. Katorżnicy mówią:

— Nie ujdą bezkarnie! Przyszyjemy!

Ponieważ tacy nieszczęśliwi są we *wszystkich* więzieniach, więc nawet prawo spójni towarzyskiej w rozprzężonej katordze sachalińskiej, bywa przez wielu naruszane.

Takie są kodeksy katorgi — cywilny i karny.

Pozostaje mi tylko powiedzieć słów kilka o sposobie prowadzenia śledztwa śród skazańców.

Katorga jeszcze nie przebyła epoki tortur. Rewizye, poszukiwania, badania wszelkie w jej języku znaczą prawie to samo, co tortury. Tworząc sąd samowolny, katorga wykrywa prawdę za pomocą okrutnego znęcania się.

Kapitan Morowicki opowiadał mi, jak podczas jego dozoru nad więzieniem dujskiem, skazańcy poszukiwali tam zabójców. Dwu podejrzanych podrzucali do góry i usuwali się, gdy tamci spadali na podłogę. Trwało to dopóty, aż nieszczęśliwi, zbici do krwi i pokaleczeni, przyznali się do winy.

(C. d. n.).

Bobrzyński dużo zrobił pożytecznego dla szkolnictwa w Galicyi, ale za rządów jego zamknięto dostęp do nauki ubogim dzieciom, a zamiast pedagogów w wielu szkołach i w łonie samej rady szkolnej zajęli niekiedy stanowiska poważne t. zw. zdolni feldfeble. Nie taką drogą dążyli Pestalozzi'owie do oświaty.

Cho.

Z NIEMIEC.

Berlin, 13 kwietnia.

Antisemici przeciw wiwisekcyi. — Co jej zawdzięczamy.

Zamknięcie przybytku lekkiej muzy przed Loną Barrison i wystąpienie przeciwko wiwisekcyi w obronie nieszczęśliwych zwierząt zaprząta umysły tutejsze wszechwładnie, jak gdyby wszelkie inne zagadnienia zostały rozwiązane pomyślnie ku zadowoleniu ogółu. Wszystkie te sprawy odeszły na dalszy plan wobec Lony Barrison i wiwisekcyi. „Bohaterka dnia“ ma przedewszystkiem nieszczęście, iż wabi się w sposób, przypominający imię aktorki Loli Montez, którą wypędzili w roku 1848-ym mężowie rewolucyi bawarskiej. Następnie pani Lona występowała jako oskarżona w kilku procesach, które odbyły się przy zamkniętych drzwiach i posłużyły jej jako trąby reklamy. Ta pustoszycielka kieszeni „złotej młodzieży“ i pożeraczka serc magnackich swymi kupletami przekroczyła pono granice przyzwoitości salonowej. Kilka zgorszonych tem stowarzyszeń kobiecych, związki broniące moralności i kilka „Vereinów“ patryotycznych połączyło się dla wysadzenia z siodła przewrotnej Amerykanki. Policya musiała ustąpić pod naporem burzy w szklance wody i zamierzała nawet wydalić panią Lonę. Poseł amerykański wdał się atoli w tę sprawę, nastąpiła, jak zapewniają złośliwi a niedyskretni dziennikarze, wymiana not dyplomatycznych pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Niemcami. Aby zapobiedz mogącym wyniknąć zawikłaniom międzynarodowym, zaprzestano dalszej akcyi przeciwko pani Lonie, lecz zabroniono jej występować na scenach berlińskich. Działo się to w tem samem mieście, gdzie teatr, jak dowodzi w świeżej książce Linsemann, trzyma się prostytucyą, a na ulicy każdemu przechodniowi przyzwoicie ubranemu wsuwają wieczorem do rąk ogłoszenia najplugawszej treści.

A teraz przejdźmy do ruchu antiwiwisekcyjnego, wszczętego przez panią Vilmę Parlaghy i antisemitów. Konia z rzędem temu, kto wskaże logiczny związek pomiędzy żydostwem a wiwisekcyą. Rzecz tłomaczy się tem, iż antisemici niemieccy uważają za punkt honoru wyzyskać wszelkie okazye, gdzie można obrzucić błotem potwarzy nauki pozytywne. Pani Vilma Parlaghy, zapoznany talent kobiecy, który przełamuje opór sądów wystawowych drogą próśb podawanych do kancelaryi dworu, wystosowała list otwarty do ministra oświaty Bossego, w którym piętnuje tortury wiwisekcyi, dowodząc nadto, iż nauka może się obejść bez okrutnego środka. Jeden z pierwszych stanął pod jej sztandarem uwieczniony przez jej bezdarny pędzel minister Miquel, ten sam, co wygłosił niedawno w sejmie pruskim siarczystą filipikę przeciwko Polakom, rojącą się od cynizmów politycznych. Zwołano liczne zebrania, zaapelowano do opinii publicznej i w ten sposób powstał ruch antiwiwisekcyjny. Ojcem jego jest właściwie Ryszard Wagner, który przed dwudziestu laty zaalarmował rząd niemiecki broszurką poświęconą tej kwestyi; pruski minister oświaty zasięgnął wówczas opinii znanego fizyologa wrocławskiego, Haidenhaina. Zagadnięty uczony nadesłał zamiast memoryału zwyczajny podręcznik fizyologii, w którym podkreślił niebieskim ołówkiem rzeczy, zdobyte za pomocą wiwisekcyi. Podobno książka była tak upstrzoną, iż minister ze wstydem wolał cofnąć swe zamiary. Tutejsze koła lekarzy i przyrodników poprzestają przeważnie na drwinach, bo czyż podobna brać poważnie dowodzenia histeryczki, iż wiwisekcya nie przysporzyła ludzkości szczęścia, a więc możemy się zrzec tego środka doświadczalnego. Dlaczegóż więc nie zrezygnować z następujących zdobyczy, nieznanych jeszcze przed stu laty, jak kolej, kanał sueski, telefon, telegraf, bicykl, maszyna do szycia, zapałki, gaz, karta pocztowa, fotografia, fonograf, fizyologia, ginekologia, oftalmologia itd. itd. Nie mamy bynajmniej dowodów, aby przodkowie nasi uginali się silniej pod brzemieniem istnienia, dlaczegoż więc nie zrzucić z siebie tego ciężaru kulturalnego, którym obarczyło nas stulecie bieżące? Antisemici wtórują szlachetnej obrończyni kotów, psów, żab i królików napaściami na naukę pozytywną. Jest to rzecz oczywista, iż wiedza zbankrutowała; nigdy nie przekroczymy granic niepoznawalnego, pocóż więc znęcać się nad bezbronnemi zwierzętami. Kilku przyrodników niemieckich zbija argumenty sentymentalnych „humanistów“ faktami przyrodniczymi. Przedewszystkiem wrażliwość na ból u zwierząt niższych, któremi przeważnie posługujemy się w doświadczeniach, jest dla nas wielkością absolutnie nieznaną, gdyż pozbawiane głowy żaby reagują, jakkolwiek trudno przypuścić, aby mogły w tym stanie odczuwać cokolwiek. Autotomia, tj. rozpowszechniony w świecie zwierzęcym zwyczaj dokonywania na własnem ciele bolesnych operacyj, świadczy poniekąd przeciwko czułostkowym antiwiwisekcyonistom. Króliki odznaczają się nadzwyczajną bezwrażliwością pod tym względem, gdyż często odgryzają sobie wzajemnie uszy. Sentymentalizm w stosunku do świata zwierzęcego — wołają inni — ma tylko względną racyę bytu. Gdybyśmy przestali tępić bydło, zające i króliki, oddalibyśmy na ich łup świat roślinny, służący nam za pokarm. Pozostawiając zwierzęta własnemu losowi — twierdzi Th. Beer — nie polepszamy bynajmniej ich bytu. Obywatele świata zwierzęcego z wyjątkiem kilku gatunków nadzwyczaj rzadko umierają śmiercią naturalną. Toczą się w tej sferze zapasy, w porównaniu z którymi nasze stosunki ludzkie mogą się wydać idyllą. Gdybyśmy chcieli żyć na stopie przyjacielskiej ze światem zwierzęcym i ustępować z drogi każdej istocie żyjącej, nie powinniśmy pić wody, albowiem w każdej kropelce pochłaniamy milion drobnych, bezbronnych i niewinnych żyjątek. Ażeby rozproszyć wszelkie wątpliwości, oświadczają lekarze, iż używa się wyrazu wiwisekcya w znaczeniu anachronistycznem; dziś bowiem wyszło zupełnie z praktyki rozczłonkowywanie przedmiotu doświadczalnego w stanie żywym; wszelkie operacye chirurgiczne wykonywa się tylko w połączeniu z narkozą. Przytem eksperymenty te wymagają dziś tak złożonych środków doświadczalnych, iż zwykle odbywają się w laboratoryach urządzonych wzorowo i w większości wypadków wykluczających niedbalstwo lub rozmyślne dręczenie zwierząt. Najzabawniejszem jest to, iż w roli obrońców poniewieranej „humanitarności“ występują antisemici, co sieją zasadniczo nienawiść pomiędzy rasami, a w przeszłym tygodniu ku uciesze Berlina ostrzegli chrześcian przed Żydami, używającymi krwi dzieci chrześciańskich do placków wielkanocnych. Antisemici niemieccy zamierzają włączyć do swego programu politycznego zakaz szczepienia ospy i robienia wiwisekcyj. „Fiat misericordia, pereat mundus“ — woła patetycznie a szczerze jeden z ich dowódców, Paweł Förster.

H. F.

FEJLETON

LIBERUM VETO.

Siły bezwiedne.

Pamiętam — w r. 1870 — po rozpoczęciu wojny francusko-pruskiej, jeden z moich kolegów, który równie jak ja, jak całe społeczeństwo polskie, życzył przegranej Prusakom, wpadł do mnie podniecony i odczytał mi nadzwyczaj przekonywająco napisany artykuł pewnego polityka warszawskiego, który dowodził, że za tydzień Francuzi będą w Berlinie. Gdy wszystkie podobne pragnienia i przepowiednie nie sprawdziły się, gdy Prusy rozgromiły Francyę i gdy czas wytarł z pamięci naszej wróżby i pozostawił w niej tylko żale, ów polityk bardzo często wspominał w swych artykułach: „klęska Francuzów, którą od początku przepowiadaliśmy...“ itd. Kłamstwo to wydawało mi się czemś zdrożnem i śmiesznem, później wszakże spostrzegłem, iż ono nie jest ani rzadkiem, ani dziwnem. Żaden człowiek nie może zamknąć się w obrębie faktów spełnionych i chociażby swą domyślnością nie odemknął nawet tajemnicy jutra, zawsze będzie próbował odgadnąć daleką przyszłość. Życie zaś społeczne jest szeregiem zagadnień tak trudnych i powikłanych, że ścisłe rozwiązanie ich przerasta siły umysłu ludzkiego. Jeżeli każdy z nas spróbuje ściśle oznaczyć, w jakich warunkach znajdzie się jutro, co będzie czuł, myślał i robił — z pewnością wszyscy się omylimy: cóż dopiero mówić o masach istot najrozmaiciej uorganizowanych i znanych nam zaledwie z powierzchownej obserwacyi! Tu już prawdopodobieństwo spada niżej zera. Źródło zaś naszych błędów tkwi nietylko w trudności przedmiotu, ale także w tem naszem złudzeniu, że życie jednostki i gromady snuje się przeważnie z procesów świadomych, że nasze zamiary, dążenia, czyny są wytworem pracy ducha, wiodącego jasno, czego pragnie i co robi. Otóż tak nie jest. Nawet w warstwach najbardziej oświeconych zaledwie tylko drobna cząstka objawów woli rodzi się ze świadomości, ogromna reszta należy do sfery popędów bezwiednych, rzutów żywiołowych.

Ta nieprzenikniona w swej naturze i nieobliczona w swej prawidłowości żywiołowość przekreśla nam ustawicznie rachuby polityczno-społeczne. W chwili, kiedy nam się zdaje, żeśmy wszystkie nici jakiejś sprawy zbadali i że z zupełną pewnością możemy orzec, jak się rozwinie, ona nagle przybiera całkiem inny kierunek, którego wcale nie przeczuwaliśmy. Wtedy zwykle występuje ze swym wpływem nie t. z. „traf,“ ale wynurza się potęga żywiołowości, która wyrzyna sobie własne łożysko i wciąga w nie wszystkie wypadki. Usłyszawszy po raz pierwszy rozpuszczoną między naszym ludem, niedorzeczną bajkę o raju w Brazylii, nie sądziliśmy, że lud ten, przywiązany do swej ziemi, niemający najmniejszego pojęcia o krajach po za jego kątami leżących, niezaradny, pozbawiony instynktów i uzdolnień koczowniczych, rzuci się ogromną falą w daleką i niebezpieczną wędrówkę. A skoro przybyły wieści o jego nędzy,

poniewierce i rozczarowaniach na obczyźnie, gdy je rozpowszechniono za pomocą książek i pism peryodycznych, znowu mniemaliśmy, że emigracya odrazu zatamuje się. Ale i ta wiara zawiodła. My przekonywaliśmy, ostrzegaliśmy, powstrzymywaliśmy namową, zaklęciami i siłą — a lud uciekał do Brazylii. Tak samo obecnie, pomimo naszych artykułów, książeczek popularnych, a tu i owdzie tłomaczeń ustnych, objaśniających świeże rozporządzenia niemieckie przeciwko Polakom, chłopi z gubernij nadgranicznych idą gromadami na zarobek do Prus, jak idzie po spadku woda, dopóki jej grobla nie zamknie drogi i nie zwróci w inną stronę. Pokrewny objaw widzimy w Galicyi, gdzie od lat wielu sztucznemi i naturalnemi łzami opłakiwana jest niedola ludu uciekającego do Ameryki, a on ciągle tam dąży. Kiedy zaostrzyły się stosunki między Grecyą a Turcyą z powodu Krety, najmniej przewidujący rozum nie mógł przypuścić, ażeby słabe i ubogie państewko porwało się na potężnego sąsiada: wojna jednak wybuchła siłą żywiołową. Jeszcze przed kilku laty nikt nie uwierzyłby, ażeby Francya, która posiada mniej Żydów, niż Warszawa, mogła stać się widownią zaciekłego ruchu antisemickiego. Bismarck, który doskonale znał swój naród i był dziwnie oporny wszelkim złudzeniom, drwił w parlamencie z garstki socyalnych demokratów, twierdząc żartobliwie, że oni może zdobędą się kiedyś na drugi tuzin posłów; dziś tych tuzinów jest już w sejmie sześć.

Nie będę dalej mnożył przykładów, gdyż każdy zwiąże długi ich szereg własną pamięcią. Wszystkie one dowodzą, że objawy życia zbiorowego najczęściej idą w kierunku wypadkowej pobudek, instynktów, pragnień bezwiednych, a przynajmniej nieuświadomionych o tyle, ażebyśmy mogli je dostrzedz, ocenić i w przepowiedni obliczyć. Skutkiem tego najczęstszym obrazem opinii publicznej jest ten, w którym my, ludzie mądrzy, socyologowie, filozofowie i politycy układamy jakąś niewątpliwą wróżbę i wykreślamy przyszłości jakiś tor zdarzeń, tymczasem rzeczywistość pod naciskiem sił żywiołowych wchodzi na zupełnie inną kolej i pozostawia nas z formułkami na boku. Wtedy jedni w zdumieniu wytrzeszczają oczy, drudzy czują wstyd omyłki, inni wyrzucają faktom nieposłuszeństwo ich woli, inni wreszcie, nadrabiając miną, zapewniają, że taką możliwość przewidywali. Mała tylko garsteczka umysłów szczerych i miłujących prawdę mówi sobie po każdym doznanym zawodzie: „Niestety, nie znamy tych mas, po których pływamy wierzchem, jak kółka oliwy lub szmaty piany; nie znamy ich popędów, potrzeb, logiki, dążeń, bo naprzód natura człowieka jest splotem zbyt trudnych zagadek, a powtóre chcemy gwałtem wtłoczyć w ramy naszego rozumu wielkie zbiorowisko ludzkie, które ma swój własny rozum.“

Sądząc to zjawisko w oderwaniu od jego gruntu, należałoby je uznać za bardzo niepożądane, a nawet fatalne. Bo czyż można nazwać pomyślnym taki bieg życia ludzkiego, który się rozmija z drogą wytkniętą przez rozum oświecony wiedzą? Zapewne, ale niestety, co my mianujemy „oświeconym rozumem,“ jest w sprawach praktycznych tylko mądrością, przykrojoną do naszych interesów. Tak np. emigracya ludu wydaje nam się zgubną nietylko dlatego, że on wpada w niedolę, ale i dlatego, że ten upływ uszczupla nam armię najmicką i podnosi koszty produkcyi. Ponieważ zaś interes przerósł dziś swymi korzeniami naszą logikę, filozofię, socyologię, politykę, więc nic dziwnego, że on przebrany w szaty muz widzi prawdę tam, gdzie ją chce dojrzeć, a nie tam, gdzie ona się znajduje, nie mogąc zaś zmienić faktów, podrabia przynajmniej ich przyczyny i nadaje im sztuczną prawidłowość.

Niechaj to poczytanem będzie za najjaskrawszy paradoks, ośmielę się jednak twierdzić, że obecnie więcej dobrodziejstw w życiu społecznem zawdzięcza ludzkość siłom bezwiednym, rzutom instynktowym, popędom wyrywającym się naturalnie z dusz człowieczych, aniżeli świadomym operacyom myśli, mędrkowaniu dokonywanemu według wszelkich zasad logiki niby prostej a w istocie krętej. Mówiono o pewnym gatunku uczonych niemieckich, że oni umieją wszystkiego dowieść. Jeżeli potrzeba było, ażeby suma kątów w trójkącie równała się trzem rozwartym, oni potrafili wynaleźć na to odpowiednią regułę geometryczną. Otóż właściwie dziś takich sofistów jest tylu, ilu obrońców jakiegoś interesu, i nietylko w Niemczech, ale wszędzie. „Rozum“ został tak wygimnastykowany, że on daje się nagiąć do najoczywistszej głupoty. Nieskażone popędy ludzkie nie mogąc ani pogodzić się, ani poradzić sobie z jego kuglarstwem, pędzą na oślep w kierunku swoich nieważonych i niemierzonych pragnień, wytwarzają siłę i prawidłowość żywiołowości, która rozstrzyga zagadnienia życia tak, jak orkan, jak trzęsienie ziemi, jak wylew wody lub odlot ptaków.

Musiałbym wyjść daleko po za granice, zakreślone dla tych uwag, gdybym chciał na dowodach sprawdzać słuszność powyższego paradoksu; poprę go wszakże jednym przykładem. „Rozum“ kazał posiadaczom folwarków sprzedawać ziemię każdemu, kto za nią dobrze płacił lub otwierał im poprawę położenia materyalnego. Więc sprzedawali ją nawet wrogom politycznym — jak np. w Poznańskiem — podnosząc ten handel do godności wyższych pomysłów polityki ekonomicznej. Tymczasem chłop ciągle kupował ziemię, nabywając ją nawet wtedy, kiedy musiał dla niej zadłużać się pod ciężkimi warunkami i kiedy te jego nabytki nie wytrzymywały rachunku. Rzucał on się na nią z jakąś żywiołową żądzą, bez długiego namysłu, bez ścisłych obliczeń, bez pewności wybrnięcia z kłopotów, często bez grosza. Dotąd można mu niezbicie dowieść, że zużytkowawszy pieniądze i pracę w innych przedsięwzięciach, osiągnie daleko większe zyski — on jak kamień rzucony w górę spadnie na ziemię. Jeżeli zaś posiadanie jej przez rodzimą ludność kraju uważamy za korzyść pierwszorzędną, za potrzebę utrzymania życia narodowego, to komu i czemu zawdzięczamy głównie to dobrodziejstwo? Czy wyższym warstwom społecznym i ich „rozumowi ekonomicznemu,“ czy też ludowi i jego bezwiednym instynktom? Gdyby nasi włościanie kierowali się temi samemi pobudkami i rachubami, możebyśmy stanowili dziś naród bez własnego kraju, zawieszony w powietrzu i tylko jednym palcem oparty o swoją niegdyś ziemię. Chłop zachował nam ojczyznę realną, my dbaliśmy głównie o idealną.

Mam nadzieję, że nikt mnie nie posądzi o chęć ubliżenia godności, lekceważenia siły i potępiania działań rozumu, o przekonanie, że kierunek życia i rozstrzygnięcie najważniejszych jego spraw należy powierzyć instynktom. I ja bym pragnął, ażeby ten mocarz rządził nami wszechwładnie. Ale gdy on dziś albo stracił swą potęgę, albo tak zwyrodniał i upadł, że nie może podołać wielkim zadaniom społecznym lub też je rozwiązuje wykrętnie, trzeba uznać, że daleko lepiej i uczciwiej spełniają jego obowiązki uczucia i popędy, które wydobywają się i działają żywiołowo. Nie pierwszy to raz i nie ostatni zdarza się w rozwoju kultury jego bankructwo; wtedy zawsze obejmują po nim upadłość i spuściznę siły bezwiedne, które on skrzywdził i z których znowu wyjdzie nowy ich władca. Bo ostatecznie rozum powinien być i będzie zawsze władcą świata.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

K. Skirmunt: *Nad Niemnem i nad Bałtykiem w zaraniu dziejów.* Warszawa.

Praca p. K. Skirmunta ma na celu „zapoznanie kół czytających z najdawniejszą przeszłością tak mało znanego szczepu litewskiego.“ Autor oświadcza, że „przedstawienie obrazu zamierzchłej przeszłości Litwy w szczegółach i wykończeniu niemożliwem jest dla braku pomników. Został nam z niej zaledwo zarys niewyraźny, osnuty na podaniach, pieśniach i niepewnych wieściach kronikarskich, u wejścia zaś w progi historyi wizerunek ten, acz wyraźniejszy, nosi cechy jednostronności, bo obce tylko tworzyły go ręce.“

Książka, pisana na podstawie takiego materyału, ażeby coś wniosła do nauki i była poważnym przyczynkiem, wymaga od autora znajomości wyników, do których doszła socyologia etnograficzna. Studya tego rodzaju dostarczyłyby klucza do rozwiązania niejednej wątpliwości i powstrzymałyby nie od jednego błędu. Nie istnieją one dla p. K. Skirmunta. Praca jego jest najpospolitszą kompilacyą, która może uczynić zadość potrzebie pewnych kół czytających, lecz nie posiada innego znaczenia. I nawet taki niewybredny czytelnik uposażony zostanie wielu błędnemi pojęciami. Autor wie, że szczep litewski jest „jednym z najstarszych wśród ludów aryjskich Europy.“ W innem miejscu dowiadujemy się, że „na dnie mitologii litewskiej spoczywa istotnie prawda zasadnicza, zmącona (!) późniejszym politeizmem — wiara w jednego Stworzyciela, którą musiały wynieść ludy aryjskie z kolebki swojej.“ Odpowiednio do takiego poglądu p. K. Skirmunt przedstawia dzieje rozwoju mitologii litewskiej, której ogniwa zaczynają się monoteizmem i po przez sabeizm doprowadzają do epoki ostatniej, do różnolitego i rozbujałego politeizmu! Co do rodowodu Litwinów, autor zapewnia nas, iż „dziś już wątpić nie mamy powodu, że Litwini przez czas długi przebywali na południu nad Dunajem i na półwyspie Bałkańskim, następnie zaś w siedzibach swoich zaniepokojeni, emigrowali stopniowo może w ciągu długich wieków ku zachodo-północy i spotkawszy morze Bałtyckie, nad brzegami jego ostatecznie się zatrzymali.“

Przytoczyliśmy kilka prób, zebranych na początkowych stronicach. Z takiemi zapatrywaniami trudno przelać światło na pogańszczyznę litewską. O ile część historyczna jest lepsza, nie wiemy — trzeba być specyalistą. W każdym razie po przeczytaniu pracy p. Skirmunta, pozostało wrażenie, że jest to kompilacya — nic nadto.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Hall Caine: *The Christian*, Londyn, 1897. — A. Morrison: *Tales of mean streets* i *A Child of Jago*, Londyn, 1897.

Sztuka, mająca na celu piękno, stanie się wkrótce w Anglii jakimś mitem przebrzmiałym. Powieść angielska przeobraża się na pamflet społe-

czno-polityczny w rękach najlepszych swych przedstawicieli, jak Hall Caine lub Morrison. Dla napisania nowej swej powieści Caine zamieszkał w jednej z najbiedniejszych dzielnic Londynu i studyował starannie życie robotników. Głównym bohaterem w „The Christian“ jest John Storm, jedyny syn bogatego lorda i siostrzenice pierwszego ministra. Po otrzymaniu wykształcenia, które miało przygotować go do karyery męża stanu, młodzieniec, zwyczajem angielskim, wysłany został w podróż. Tu John Storm zapoznał się z życiem klas ubogich i był przerażony, zajrzawszy w to piekło nędzy, rozpusty i zwyrodnienia. Pod wpływem szlachetnej wrażliwości postanawia oddać się sprawie nieszczęśliwych. Wydaje mu się, iż człowiek uczciwy nie może być świadkiem obojętnym wszystkich tych okropności i że powinien czynnie wystąpić do walki ze złem.

John długo rozmyśla, w jaki sposób można praktycznie urzeczywistnić swe ideały i znajduje w końcu, iż stanowisko księdza jest drogą najprostszą dla zbliżenia się z ludem pracującym i niesienia mu pomocy.

Powróciwszy z podróży, oświadcza ojcu o swych zamiarach i powołaniu. Stary lord uważa to za szaleństwo, ponieważ jednak syn upiera się, znajduje mu miejsce kapelana przy kanoniku Wealthy, w jednym z najbardziej arystokratycznych kościołów Londynu. Wyjeżdżając ze swej ojczyzny, wyspy Man, dla objęcia tego urzędu, John zabiera z sobą Glory Quagle, wnuczkę pastora swego rodzinnego miasteczka, która ma zamiar stać się siostrą miłosierdzia w jednym ze szpitalów londyńskich.

Glory ma piękne złote włosy, olbrzymie szare oczy i dziewiętnaście lat wieku. Wysokiego wzrostu, miała twarz tchnącą namiętnością, ironią i kokieteryą. Była córką bony francuskiej, z którą ojciec jej się ożenił i po niej otrzymała w spadku temperament zmysłowy i zmienny, zamiłowanie zbytku i przyjemności. Wpływ wychowania, które ojciec jej udzielił, ani prostota życia w prezbyteryum, nie mogły w niej zarodków tych zniszczyć. Matka odumarła ją wcześnie.

W dwunastym roku życia Glory zakochała się w Johnie Stormie, gdy on jednak opuścił wyspę, syn sąsiedniego lorda, Franciszek Drake, stał się przedmiotem jej marzeń i wreszcie z powrotem Johna wróciła do dawnej swej miłości. On był także namiętnie w niej rozkochany, to jednak nie stanęło mu na przeszkodzie w chęci poświęcenia się sprawie cierpiących. Glory nadzwyczaj jest rozczarowana jego postanowieniem, życie w domu rodzinnem staje się dla niej nieznośnem i dlatego udaje się wraz z Johnem do Londynu.

To, co Storm widzi na nowem swem stanowisku, przyprowadza go do rozpaczy. Kanonik Wealthy spogląda na swój urząd, jak na zwykły „business.“ Jest to wielki znawca psów i koni, doskonały gymnasta, ma na widoku tylko interesy swej pozycyi i dlatego patrzy nader pobłażliwie na „grzeszki“ ludzi swej sfery. Dlatego też między tym kanonikiem i jego nowym kapelanem zgoda trwać mogła bardzo nie długo. Obaj są członkami honorowymi szpitala, w którym służy Glory. Lord Robert, przyjaciel kanonika, zrobił jedną z jej towarzyszek swą kochanką. Rada szpitalna, dowiedziawszy się o tem, postanawia wypędzić ją bez zwłoki. Wówczas John Storm żąda, aby lord Robert także wykreślony został z liczby członków.

„Panowie — przerywa mu przewodniczący — nasze zebranie jest zawieszone.“

Wściekłość Johna przechodzi wszelkie granice. Postanawia natychmiast porzucić obłudnego kanonika.

„Nie mogę tu dłużej pozostawać — powiada doń — gdyż atmosfera, którą pan oddychasz, zabija mnie, gdyż pańska wiara nie jest moją wiarą.“

„Zadziwiasz mnie pan. Cóżem takiego uczynił?“

„Przed miesiącem poświęciłeś pan ślub rozpustnika, a dziś ukarałeś nieszczęsną jego ofiarę.“

„Jakże my różnie spoglądamy na rzeczy! Czy nie wiesz pan, iż tak postanowił lord przewodniczący.“

„Uważam postanowienie to za okrutne, nieludzkie i haniebne“ — zawołał John. Oczy jego błyszczały gniewem, głos ochrypł. Przypominał człowieka zrzucającego z siebie kajdany. — „Nazwałeś pan biedne to dziecko *grzesznicą* za to, że roztrwoniła dar udzielony jej przez Boga. Ale Bóg i panu udzielił darów, wiedzy i wymowy, przy pomocy których mógłbyś podnosić upadłych, podtrzymywać słabych, bronić uciskanych, pocieszać zasmuconych. I cóżeś pan zrobił z temi darami? Zamieniłeś je na dobra poziome życia i sprzedałeś za popularność. Zamieniłeś je na pieniądze, na domy, na psy i konie. Sprzedałeś swe pierworodztwo za miskę grochu i dlatego jesteś *grzesznikiem*.“

„Zwaryowałeś pan! Ja nie chcę scen!“

„Pan jesteś gorszy od ostatniej grzesznicy błądzącej po ulicach Londynu, a tymczasem jesteś sługą Tego, co wybaczył kobiecie jej grzechy i zawstydził obłudników.“

Glory bardzo prędko zniechęciła się do swego szpitala. Poznała tu bliżej kilka swych towarzyszek, i tą drogą wtajemniczona została szybko we wszystkie intrygi miejskie. Wkrótce potem John, który widział, jak zepsucie ją ogarniało, z rozpaczą przekonywał się, iż nic zrobić nie może dla jej uratowania. Tchnie on coraz głębszą goryczą i nienawiścią do świata, a Glory pędzi żywot śród zabaw i przyjemności, pod kierownictwem Drake'a. Napróżno Storm chce ją nawrócić, błaga i przeklina, ona podąża drogą swego losu, pozostawiając go jego mizantropii i mistycyzmowi. Zniechęcony, zbolały, zamyka się w klasztorze, nie chcąc nic słyszeć ani o niej, ani o biedakach, ani o swej działalności.

Storm przekonywa się ze strachem, iż w pierś jego zakradło się zwątpienie względem wszystkich zasad, któremi chciał zbawić cierpiącą ludzkość. Sceptycyzm ten rośnie coraz bardziej w murach klasztornych, zwłaszcza iż wspomnienie Glory prześladuje go dniem i nocą, bez ustanku. Słyszy jej głos pieszczotliwy, widzi jej wdzięczną postać. Nie pomagają modlitwy i posty. W rezultacie halucynacye stają się tylko żywszemi. Tak spędził sześć miesięcy. Rozpacz zupełna go ogarnęła. Całymi dniami stał u okna swej celi i spoglądał bezmyślnie na obnażone drzewa. Przekonywa się wreszcie, iż życie klasztorne nie jest stworzone dla niego, iż obowiązkiem chrześcianina jest czynić, a nie modlić się. Zrozumiał, iż powinien — niezależnie od tego, czy zwątpienie jego się rozproszy, czy nie — powrócić tam, do tego oceanu cierpienia i nędzy, którego przytłumione echa dolatywały aż do jego celi.

Pewnego poranku wbiega do przeora i, padłszy na kolana, woła: „Ojcze, nie mogę dłużej prowadzić tego życia! Próbowałem, starałem się wszystkiemi siłami mej duszy — nie mogę! Życie to w modlitwie, postach i kontemplacyi dusi mnie, zabija. Ono zabija we mnie *człowieka*. Nie mogę dłużej znosić tego. Wybacz, ojcze! Muszę zerwać mój ślub i porzucić klasztor, inaczej byłbym kłamcą, hypokrytą? Woła mnie inne życie!“

Tymczasem Glory stała się śpiewaczką naprzód w klubach zamiejskich, a następnie w Musichallach londyńskich. Storm, wyszedłszy z klasztoru, odnajduje ją i błaga, aby porzuciła to zajęcie. Ale napróżno. Ona usprawiedliwia się w sposób następujący: „Wydaje mi się, iż jestem podwojną, iż mam w sobie dwie dusze. Opuściwszy szpital, miałam dużo cierpień; ale w najgorszych nawet chwilach nie mogłam wyrzec się chęci użycia. Znajdowałam się w położeniach takich, że musiałam płakać, ale i wówczas nawet było we mnie drugie ja, które się śmiało. A i teraz to nie ja prowadzę życie, które pan mi wyrzucasz, lecz to drugie *ja*, niższe, jeżeli pan chcesz. I pan wymagasz, abym teraz, gdy całe miasto ma oczy na mnie zwócone, gdy świat jest dla mnie pełen uśmiechów, słońca, gdy jestem tak szczęśliwa, wszystko to opuściła?“

A jednak wpływ Johna, którego Glory w głębi duszy kocha, przemógł tę jej niższą naturę. Porzuca ona Londyn, wraca do dziadka. Storm zaś staje się kaznodzieją ulicznym i w tym apostolskim zawodzie ma wielkie powodzenie. Spotkał go jednak nowy cios: Glory wraca do Londynu, wstępuje do teatru i John widzi ją w towarzystwie młodych elegantów i rozpustników. Nienawiść ku bogatym i potężnym wzrosła w nim do fanatyzmu, jego kazania stają się wezwaniem do wojny domowej. Nareszcie ogarnięty szałem zazdrości, postanawia zabić Glory. Nie zabił, lecz stał się jej kochankiem. Wkrótce potem Storm ginie w walce ulicznej, a Glory, ostatecznie nawrócona, wstępuje napowrót do szpitala, żyjąc tylko pamięcią o kochanym.

Taką jest treść tej powieści, mającej kolosalne powodzenie w Anglii. Jest obecnie modą literacką przedstawiać lordów pracujących i poświęcających się dla dobra ludu. Temat ten po raz pierwszy opracowany został przez Waltera Besanta w słynnym romansie „All sorts and conditions of men.“ Pomysł Caine'a nie jest więc nowy. Bohater, o ile miał przedstawiać duszę „istotnie chrześciańską,“ jest tworem oczywiście chybionym. Ale za to jest to doskonały typ narwańca, w którym altruistyczne popędy pęd zawsze odgłosem niezadowolonych potrzeb płciowych. Autor dał w nim znakomite studyum psychologii chorobliwej, jakkolwiek nie to bynajmniej miał na celu. Glory przypomina Manon Lescaut Prevosta: obie są czułe i lekkomyślne zarazem. Powieść pisana jest bez kompozycyi, monotonnie, z afektacyą. Autor jednak chciał nam dać obraz „wierzeń, wysiłków społecznych i pragnień religijnych, które stanowią życie angielskie z końca XIX w.“ i pod tym względem dopiął celu. „Chrześcianin“ odbija dążenia społeczne chwili obecnej i w tem zawiera się tajemnica jego powodzenia.

W osobie Alfreda Morrisona na widnokręgu powieści angielskiej ukazała się gwiazda pierwszorzędnej wielkości. Autor opisuje East-End londyński, ponure gniazdo występku, brudu i pijaństwa. Pierwsza jego książka była zbiorem nowel, które przedstawiają to życie z realizmem wstrząsającym. Są to historye pijaków, prostytutek i złodziei, opowiadane w tonie obojętnie ironicznym. Autora uznano za zdolnego ucznia Zoli, za krańcowego naturalistę. Był to jednak tylko skutek młodości i niedoświadczenia, które lubowało się w opisywaniu tego, co przechodziło przed oczyma, nie wnikając głębiej w sens zjawisk.

W następnej jednak powieści, która jest monografią jednego z domów East-Endu, Jago-Court, ton autora znacznie się zmienia. Nie jest to już zimny i niemiłosierny obraz nędzy ludzkiej, lecz akt oskarżenia, zwrócony przeciw społeczeństwu, które pozwala na to, aby całe dzielnice skazane były na niechybny upadek i zwyrodnienie, odgradzając się od nich jedynie obłudną pogardą. Bohater nowej powieści Morrisona jest chłopcem dobrym, którego tylko otoczenie wprowadza na drogę występku i który na drodze tej zachowuje wciąż szlachetność pierwotnej swej natury.

Autor nigdy nie wypowiada swych intencyi, ale fakty same głośno przemawiają. Są one tak ugrupowane, iż czytelnik wynosi jasne przekonanie, że każda istota ludzka zrodzona w East-Endzie niechybnie skazaną jest na upadek, jeżeli nie na zbro-

dnię i że żadne wysiłki, żadna „dobra wola“ z jej strony nic tu zmienić nie może.

Obrazy Morrisona są tak wstrząsające, iż zarzucono mu fałsz i przesadę. Wówczas jeden z pastorów East-Endu, Osborne Jag, w liście ogłoszonym przez *Fort nightly Review* zaświadczył, iż Morrison nic w swej powieści nie wygórował. „Cokolwiek myślą i powiadają filantropowie z wschodnich dzielnic Londynu — pisze p. Jag ironicznie — książka p. Morrisona jest szczerą i absolutną prawdą.“

Styl Morrisona jest prosty, ale pełen wyrazistości i humoru.

Dr. L. Winiarski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

HISTORYA. A. Kraushar. „Ks. Repnin i Polska w pierwszem czteroleciu panowania St. Augusta“ (1764—1768), wyd. 2, dwa tomy (407 i 348 str.).

— I. Chociszewski: „Historya Polski“ (186 str., cena 35 kop.). Borkowski i Karpowicz.

— Sz. Askenazy: „Ministerium Wielhorskiego“ — 1815—1816 (75 str.). E. Wende.

HISTORYA LITERATURY powszechnej W. Gostomskiego, z. 7.

— „Obraz literatury polskiej w streszczeniach i wyjątkach“ P. Chmielowskiego, z. 10.

ALBUM biograficzne zasłużonych Polaków i Polek XIX w. (wyd. *Kuryera niedz.*), z. 3.

POWIEŚCI. K P. Tetmajer: „Anioł śmierci,“ romans, 2 t. (296 i 234 str.). Gebethner i Wolff.

— Scarabejus: „Wrażenia starego kawalera“ (199 str.). Petersburg. Grendyszyński.

BIBLIOTEKA dzieł wyborowych wydała: „Pojatę“ F. Bernatowicza w 3 t., oraz „Irydiona“ Krasińskiego.

HYGIENA. Pr. Howitz: „Dlaczego chorują nasze kobiety?“, tłom. H. Jakubowicz (99 str.). Strauch.

PEDAGOGIKA. H. Wernic: „Co i jak robią rzemieślnicy, opis rzemiosł dla młodzieży oraz przewodnik przy wyborze powołania“ (313 str.).

ENCYKLOPEDYA rolnicza, z. 74 (Ocet).

— Orgelbranda, z. 24 (Bautinga).

MEDYCYNA. Dr. Wł. Ołtuszewski: „Ogólne uwagi o zboczeniach mowy“ (15 str.), „Piąty przyczynek do nauki o zboczeniach mowy“ (17 str.), „O znaczeniu ośrodków skojarzeniowych Flechsiga dla badań nad rozwojem umysłu, mowy, psychologii mowy oraz nauki o niemocie“ (12 str.).

SPRAWY SPOŁECZNE. A Suligowski: „O samorządzie ziemskim“ (31 str.).

POEZYE

KSIĘŻYC

Czemu, gdy ziemia dyszy, jak senna królowa,
Napoły rozmarzona, drzemiąca napoły —
Księżyc-trup żółty czerep między chmury chowa
I tęskni i wytrzeszcza szkliste oczodoły?

Czy jest jaka mgławiczna siła odśrodkowa,
Jakiś bóg czarnoręki i płomiennoczoły,
Co planetarne loty i orbity kowa,
A taki jest, jak szatan pomiędzy anioły?

I czy ta moc kosmiczna, której nic nie zmienia,
Która nie ucieleśnia się w kształt jednolity
Ani w gwiazd pióropusze, ani w burz rozchrzęście,

Na bieguny tęsknoty kładzie dwa istnienia
Ludzkie i wtłacza w kręgi obłędnej orbity,
A tylko pusty wyraz mówi: to nieszczęście?...

Władysław Sterling.

SPRAWY EKONOMICZNE.

SZKICE EKONOMICZNE.

III.

Rozwój pieniędzy. — Od czego zależy. — W jaki sposób pieniądze ukazują się w rozwoju społecznym i pierwsze ich formy. — Znaczenie pieniędzy dla powstania rozwoju skarbów.

Rozpatrzyliśmy już warunki powstawania skarbu oraz przejście jego z formy pierwotnej w kapitalistyczną, tj. ze zbioru przedmiotów bezpośrednio użytkowych w zbiór towarów. Zamiast bogactwa właściwego okresowi naturalistycznemu a składającego się ze sprzętów, ozdób i wogóle rzeczy spożywczych, otrzymujemy „bogactwo narodowe“ ekonomistów mieszczańskich, złożone z przedmiotów, przeznaczonych na sprzedaż. Atoli skarb, o ile ma przybrać znaczne rozmiary oraz charakter kapitalistyczny, winien posiadać formę, zmieniającą się łatwo na wszelką inną co do zawartej treści — muszą powstać pieniądze. Ażeby zrozumieć ich rolę społeczną jako środka wymiany i nadawania posiadanemu skarbowi dowolnego składu (o ich roli jako miernika wartości nie mówimy), winniśmy udać się na krańce naszej cywilizacyi, tam, gdzie ona styka się z ludami barbarzyńskimi, które hołdują jeszcze zasadzie wymiany bezpośredniej produktu na produkt, a naówczas otrzymamy fakty jaskrawe, uwydatniające znaczenie tej tak ważnej kategoryi naszego życia ekonomicznego. Znany podróżnik po Afryce Środkowej, Cameron, znalazł się nad brzegami jeziora Tanganyika w położeniu komicznem. Potrzebował łódki, lecz ten, kto ją posiadał, zażądał zapłaty w kości słoniowej, której Europejczyk nie miał. Dowiedział się, iż niejaki Mahomet-ibn-Salib posiada kość słoniową, którą chętnie oddałby w zamian za sukno. Naturalnie, wiadomość ta na niewiele przydałaby się Cameronowi, gdyby nie znalazł się jeszcze niejaki Mahomet-ibn Harib, mający sukno a gotów wymienić je na drut, posiadany przez podróżnika. Nastąpił więc szereg aktów wymiennych, które w ostatecznem ogniwie swojem oddały łódkę w ręce potrzebującego, lecz natomiast pochłonęły dużo czasu, podczas gdy u nas kupno, przy pomocy pieniędzy, załatwionoby bardzo szybko. Inne zdarzenie podobnego rodzaju podał Barth z podróży swojej po Afryce 1849—1855. Miał on w Bornu do czynienia z wielu przykrościami. Na razie nie było tam monety, która by cieszyła się zaufaniem powszechnem: „funt miedzi“ wyszedł z użycia, „motek bawełny“ także przestał kursować. Istniały muszle kauri, wprowadzone przez warstwy panujące dla celów spekulacyjnych, ale włościanie nie chcieli jej przyjmować. Dopominali się oni, wzamian za produkty przez siebie przynoszone na rynek, o koszule, które były różnej wielkości i różnego gatunku. Pragnąc nabyć cokolwiek od włościan, Barth musiał szukać osoby, któraby zechciała wziąć jego talary i dała wzamian kauri, za muszle te nabywać koszule i znowu znaleźć chłopkę, gotową oddać ryż lub kury za ten produkt. Ludzie Bartha mieli więc na targu dużo roboty i tracili sporo czasu; powracali oni w najwyższym stopniu zmęczenia fizycznego.

Fakty powyższe wykazują, iż pieniądze w naszem życiu ekonomicznem spełniają poniekąd tę samą rolę, co smarowidło, pokrywające osie, ażeby wóz toczył się z możliwie najmniejszem tarciem. Dzięki ich istnieniu, skarb, który składa się z produktów pewnego rodzaju (o ile one naturalnie przedstawiają użytkowość dla społeczeństwa) wciela się w formę pieniężną, z niej przeinacza się znowu na towarową itd. Pieniądze same również z biegiem czasu ulegają zmianie, mianowicie przybierają charakter stosowniejszy do spełniania wymienionych zadań. Sprzedaż-kupno stają się w życiu społecznem zjawiskiem coraz częstszem i obejmuje zarówno przedmioty bardzo niskiej wartości, jako też inne, przedstawiające bardzo wielką; transporty dóbr odbywają się na znacznej przestrzeni, skarb dosięga pokaźnych rozmiarów i dlatego wymaga od pieniędzy przymiotów, umożliwiających przewóz jego i przenoszenie, i t.d. Odpowiednio do rozwoju wyłuszczonych okoliczności środki wypłaty i gromadzenia skarbów doskonalą się, stają się smarowidłem obiegu, możliwie uwzględniającem wszelkie warunki. W ten sposób, na pewnym szczeblu wymiany, zamiast pospolitych produktów, spełniających rolę równoważnika powszechnego, zjawia się kruszec: bydło jest równoważnikiem niepodzielnym, sól w stosunku do swojej wartości podstawia wielką wagę i objętość, a nadto jako środek gromadzenia skarbu jest zupełnie nieodpowiednia. Tymczasem metale odznaczają się podzielnością; nadto kruszce szlachetne przy małej objętości i wadze przedstawiają znaczną wartość i nie niszczeją z biegiem czasu. To też na wyższych szczeblach rozwoju handlowego stają się one pieniędzmi, przyczem zamiast zwykłej formy towarowej przybierają charakter monety. Jeszcze na wyższym poziomie wymiany zjawiają się papiery wartościowe — na razie nie chodzi nam bynajmniej o ich rodowód, tylko o to, że w epoce rozwiniętego handlu stanowią one rzecz dogodniejszą do przesyłania i przenoszenia, niż kruszec. Ta ewolucya środka wymiany i gromadzenia skarbów doprowadza wreszcie do kompensat i systemu bankowego, będącego koniecznem ich podłożem. Ażeby zrozumieć te kolejne przekształcania się pieniędzy, trzeba przedewszystkiem uwzględnić wymagania sfery obiegowej — dostarczenia jej najodpowiedniejszego smarowidła. O ile zaś chodzi nam o skarb, znajduje on dla siebie formę najodpowiedniejszą z powstaniem papierów procentujących. „Dług państwowy (to główne źródło walorów procentujących) występuje jako jeden z najenergiczniejszych czynników wstępnego gromadzenia. Jakby za uderzeniem różdżki czarodziejskiej, nadaje on nieprodukcyjnym pieniądzom zdolność rozpłodczą i takim sposobem przeistacza na kapitał, wolny od niebezpieczeństw i kłopotów, nieodłącznych przy stosowaniu go do przemysłu i nawet lichwy prywatnej. Wierzyciele państwowi ostatecznie nic nie dają, bo suma dłużna zostaje zamieniona na publiczne, łatwo wymieniane papiery, które w ich ręku spełniają nadal te same czynności co dawna gotówka.“

Pragnęlibyśmy zatrzymać się nieco nad rodowodem pieniędzy. Z góry zaznaczymy, iż powstanie ich i rozwój były dziełem nawskróś żywiołowem, iż niejaka tajemniczość mistyczna, otaczająca tę kategoryę w życiu gromadnem, stanowi produkt długiego rozwoju, który szedł zwolna w ciągu wieków. Ale nawet i dzisiaj, gdybyśmy zechcieli uważniej przyglądać się temu co dzieje się dokoła nas, moglibyśmy być świadkami narodzin pieniędzy w ich formie prastarej: śród malców w szkółkach panuje zwyczaj grania w stare stalówki, które w ten sposób stają się przedmiotem zapotrzebowania powszechnego, zamieniają się na środek mierzenia wartości przedmiotów handlu szkolnego, na środek wypłaty i jednostkę gromadzenia skarbów przez młodych skąpców

i szulerów. Analiza taka wykazałaby nam, że pieniędze są kategoryą, która rozwija się z towaru, zaspakajającego pewną powszechną potrzebę, miejsca o jej znaczenie, tj. owej potrzeby, w stosunku do innych naszych pragnień. Naturalnie, w życiu społeczeństwa pierwotnego rozwój, odbywający na podłożu nieznacznej liczby przedmiotów, musi wyglądać w wielu razach odmiennie, ale istota rzeczy pozostaje ta sama. Widzieliśmy w poprzednim szkicu skutki zetknięcia się Eskimów z Europejczykami. Odpadek produkcyi tego szczepu myśliwskiego, skóry, zamienia się na towar, wkraczający w życie wewnętrzne plemienia i niszczący tam stosunki praojcowskie. Przedmiot ten staje się jednocześnie równoznacznikiem powszechnym, tj. zaczyna spełniać funkcye pieniędzy. Jest to jedno źródło powstania tej kategoryi życia ekonomicznego. Istnieje jeszcze drugie. Wspominaliśmy już, iż w ręku każdego plemienia gromadzi się skarb, złożony z ozdób. Gdy gospodarstwo towarowo zaczyna kiełkować, wszędzie, w społeczeństwie pierwotnem, istnieją już zbiorniki pieniędzy; ozdoba przechodzi z rąk do rąk, tak samo jak srebrne ruble u cyganów: są one wplatane we włosy dziewcząt, stamtąd w potrzebie zdejmowane i wydawane. O fizyognomii takich towarów-pieniędzy świadczą zwyczaje czerwonoskórych Ameryki północnej: „Skarb publiczny plemienia składa się z pasów wampumu. Wampumy ich zostałyby wyczerpane, gdyby nie znajdowały się w ciągłym obiegu. W większości spraw, wewnętrznych i zewnętrznych, zwyczaj wymaga odwzajemniania się, tj. za jeden pas trzeba dać drugi, tej samej wartości. Mniemają oni, że żadna umowa nie może być zawartą bez takiego pasa. Europejczycy, nie znając ich zwyczajów, postawili Indyan w nieco trudnem położeniu, zatrzymując pasy i wzamian nic nie dając. Ażeby uniknąć niedogodności stąd wypływających, czerwonoskórzy zaczęli dawać mało ilości, oświadczając, iż wampum jest wyczerpany, resztę zaś dodawali w skórach jelenich, wzamian za co otrzymywali świecidełka drobnej wartości, tak iż umowy pomiędzy nimi a Europejczykami stały się rodzajem handlu. Niema jednak najmniejszego powodu przypuszczać, ażeby wampum stanowił tam wyłączną monetę, bardziej używaną, niż ozdoby złote i srebrne. Wszelkie ozdoby i większość innych przedmiotów z pośród własności osobistej przechodziły z rąk do rąk według ustalonej wartości, choć nie było tam ogólnej skali cen. Atoli wampun był bliższy naszej monety, niż jakikolwiek inny przedmiot, ponieważ użytki z niego były powszechne i przejście jego z ręki do ręki odbywało się łatwo, tak iż możemy powiedzieć, że każdy go potrzebował.“

Jaki z pośród przedmiotów zamienia się w danem plemieniu na równoznacznik powszechny, zależy to od stosunków historycznych badanej grupy, tj. od jej zwyczajów, rzeczy używanych na ozdoby, naturalnego bogactwa terytoryów ościennych itd. Zwykle kilka towarów jednocześnie spełnia to zadanie i stają one względem siebie w pewnym stosunku: jedne są pieniędzmi użytku codziennego, gdy chodzi o drobne kupna-sprzedaże, inne zjawiają się przy wielkich tranzakcyach. Na archipelagu Pelew, według Sempera (późniejsze dane Kabarego są szczegółowsze) jest siedem rodzajów pieniędzy. Najwyżej cenioną jest „moneta“ *brak*, na całym archipelagu znajduje się jej zaledwie trzy lub cztery egzemplarze; po niej idzie *panhunhan*, czerwonej barwy minerał, noszony przez kobiety na szyi jako ozdoba; trzeci, *kalbukun*, jest agatem, posiadającym formę walcowatą. Pieniądze wymienione nie schodzą nigdy do poziomu codziennych. Inne monety, zwykle kawałki naturalnego szkła, są tak niskiej wartości, że za jedną sztukę nie można dostać nawet wiązki bananów. Wszystkie one posiadają otwory i są noszone jako ozdoby. Niekiedy, w miarę zmian, zachodzących w gustach spożywczych, dawne przedmioty są wycofywane, a inne zaczynają funkcyonować, jako pieniądz; z takiem zjawiskiem spotykamy się niejednokrotnie w różnych okolicach Afryki sudańskiej, niekiedy zaś po dawnych pozostaje się tylko nazwa, dalej służąca jako etykieta nowej monecie. Tam, gdzie zapanował tylko jeden przedmiot, nadający się do łączenia, powstaje skala monetarna: tworzą się jednostki niższe i wyższe. Tak jest w Melanezyi: „Moneta na N. Brytanii składa się z drobnych muszli, nawleczonych na trzcinę. Mierzą ją według długości: od ręki do ręki przez piersi; przy rozciągniętych ramionach; od środka piersi do końca jednej ręki przy wyprostowanem ramieniu; od osady ręki do końców palców; od łokcia do końców palców; od zgięcia dłoni w tym samym kierunku, wreszcie według długości palców. Dewarrę (nazwa pieniędzy), w ten sposób przygotowaną, wiążą w pasma po setce nitek i nawet po 600, choć rzadko, ponieważ w razie napaści lub wojny trudno było ją unieść lub schować w miejsce bezpieczne.“ Produkcya takiej monety znajduje się w ręku osób prywatnych, które, jeśli wyrabiają jej większą ilość, kładą wtedy na trzcinie pewne znaki, wskazujące pochodzenie pieniędzy i dające rękojmię, że niema tam podejścia i oszustwa. Muszle wytarte ulegają wycofaniu, które następuje w ten sposób, iż przestają je przyjmować.

Zatrzymaliśmy się nad pewnymi objawami, właściwymi najpierwotniejszej fazie pieniędzy, oraz przedstawiliśmy ich rodowód. Poruszyliśmy ten przedmiot tylko o tyle, o ile uważaliśmy za potrzebne dla uwydatnienia rozwoju skarbu, który tylko zyskawszy dla siebie takie wcielenie, zaczyna rozwijać się na dobre. Właściciel skarbu dopiero z nastaniem pieniędzy zyskuje warunki zamiany na lichwiarza; dopiero wtedy na dobre staje się możliwą owa namiętność, która artystom pióra podsunęła typy Harpagonów. Jak „sztuka dla sztuki“ i inne podobnego rodzaju hasła są możliwe tylko przy istnieniu pewnych stosunków społecznych, tak samo „skarb dla skarbu,“ gromadzenie dla samego gromadzenia, rozwijają się dopiero, gdy pieniądz wyodrębni się jako szczególna kategorya. Jest to już możliwem u mieszkańców N. Brytanii z ich monetami-prętami. Ale całe znaczenie dla skarbu odpowiedniej formy pieniężnej ujawnia się dopiero z tą chwilą, gdy ukażą się papiery procentujące. O tem zresztą już wspomnieliśmy.

L. Krzywicki.

GŁOSY ZE WSI.

Wracamy jeszcze raz do sprawy niezmiernie żywotnej: monopolu wódczanego. Wracamy tem skwapliwiej, że nadchodzą do nas listy ze wsi, rzucające znamienne i zupełnie nowe światło na stosunki życiowe, których w teoryi nie przewidzieli twórcy nowej organizacyi. Tę rozbieżność między przepisami a życiem na niektórych punktach już spostrzeżono u steru i oto p. minister skarbu ma wkrótce zaprosić właścicieli gorzelni w celu obmyślenia sposobów dogodniejszej sprzedaży spirytusu. Świadomi rzeczy przewidują, iż do tych narad wezwani będą ludzie bogaci, dla których gorzelnictwo nie stanowi kwestyi i bytu, większość zaś rolników niezamożnych, pracujących w pocie czoła i opierających niemal całe swe istnienie materyalne na gorzelnictwie, nie weźmie udziału w tym wiecu, pomimo że oni właśnie odczuwają bezpośrednio wszelkie wady handlu spirytusowego w ogóle. Z tego też względu słuszna jest uwaga jednego z rolników uboższych w liście nam nadesłanym: że ci panowie, którzy w projektowanym zjeździe będą przedstawicielami gorzelnictwa krajowego, powinni wziąć do serca interesy ziemian niezamożnych i prosić p. ministra o usunięcie niedogodności, wynikających z wielkiego skomplikowania machiny monopolowej. Oto jest obraz tych niedogodności i powikłań, skreślony przez naszego korespondenta: Odbiór należności za spirytus sprzedany skarbowi, bardzo jest utrudniony. Zwykle trzeba czekać na pieniądze od czterech do sześciu tygodni. Wypływa to stąd, że komisya akcyzowa przyjmująca spirytus, musi spisać akt odbioru w trzech egzemplarzach i odesłać do okręgu. Ten zaś na zasadzie nadesłanego dokumentu pisze pokwitowanie i wraz z aktem odsyła do gubernialnego zarządu akcyzy. Na zasadzie owych dowodów zarząd gubernialny pisze asygnatę i przesyła ją do zarządu okręgowego, który skierowywa „talon“ asygnaty do urzędnika odpowiedniego i ten dopiero wręcza ów dokument właścicielowi dostarczonego spirytusu!

Cała ta manipulacya zapewne nie wynika z braku zaufania do urzędników, którym się powierza odpowiedzialną czynność. Bądź co bądź na zasadzie ich poświadczeń wypłacane są duże pieniądze. Jest to po prostu formalistyka biurowa, która rolnikom mocno dolega. Można byłoby skrócić te formalności powierzając naczelnikom okręgów akcyzy wydawanie asygnat dostawcom.

Zobaczmy—pisze nasz korespondent—co się stało z premią skarbową udzielaną w ilości 6% gorzelniom małym. Nie mówimy już o tem że w niedalekiej przeszłości, właściciele gorzelni mieli zawsze w obrocie skarbowych parę tysięcy rubli. Dzisiaj to nie możebne. „Niechże by nam było łatwiej dostać ową premię z kasy skarbowej. Czy to koniecznie potrzebna jest cała formalistyka tak zwanego „otczyslenja,“ posyłanie do okręgu, czekanie na asygnatę i po odebraniu jej zwracanie się do kasy? Wszak dzisiaj każda gorzelnia posiada normę produkcyi spirytusu, której przekroczyć nie ma prawa; a więc prawie z dokładnością matematyczną można obrachować, jaką cyfrę ma dostać gorzelnia w każdym miesiącu przez cały czas kampanii gorzelniczej. Sądzę więc, że ostateczny obrachunek owych procentów można by zostawić do końca kampanii, przez cały zaś jej ciąg wydawać stałe miesięczne kwoty, któreby łatwiej było odebrać z kasy niż przy obecnym sposobie. Przecież gdyby w końcu kampanii okazało się, że dana gorzelnia dostała więcej owych procentów niż jej należało, to ostatecznie możnaby je potrącić przy wypłatach za spirytus sprzedany skarbowi.“

Oprócz dwu kwestyj, poruszonych wyżej, jest jeszcze jedna najdotkliwsza, którą by należało rozstrzygnąć w sposób zadawalający.

Dawniej, gdy akcyzę od spirytusu wprowadzono, następnie podniesiono do wysokiej stopy, wpłynęło to ujemnie na pewną sferę stosunków. Zdarzały się wypadki nadużyć, które wywołały surowy kodeks karny, przytem natchnęły sfery rządzące nieufnością ku ogółowi wytwórców spirytusu.

„Dzięki takim stosunkom, dzisiaj w wypadkach rozbicia się beczki napełnionej, podlegamy surowej karze, płacimy akcyzę za spirytus, który nie był zużytkowany. Niejeden z nas w ciągu roku ca-

łego pracował, płacił lichwiarskie procenty, aby zdobyć kapitał obrotowy, w rezultacie miał dostać kilkaset rubli zysku i — raptem, beczka się ześliznęła przy wkładaniu jej na wóz lub spuszczaniu z niego i owe krwawe kilkaset rubli pękły!

Pękły, bo dziesiątki lat wytworzyły nieufność, bo z tej nieufności wyrósł kodeks karny. Mimo więc niezbitych dowodów, że spirytus wsiąkł w ziemię lub śnieg, płacimy karę.

W handlu spirytusem na potrzeby skarbowe istnieje jeszcze jedna bardzo wielka niedogodność, której milczeniem pominąć niepodobna: Ze sprzedanego spirytusu, w ilości np. 1,000 wiader, skarb bierze na potrzeby monopolu w marcu 1,500 wiader, a 4,500 w sierpniu, wrześniu i październiku."

„Pomijam straty na tak zwanej „usyszce" *)—skarży się rolnik—ale najważniejsza to, że mi uwięziono kapitał obrotowy, około 3,000 rs., przez całe lato; nie mogę go dostać nawet na zebranie najważniejszego produktu, kartofli! Muszę więc znowu zwracać się do kredytu lichwiarskiego i w rezultacie owa wyższa cena, za którą skarb zabiera część mojego spirytusu, co ma być wynagrodzeniem za stracony handel miejscowy, idzie do kieszeni lichwiarza! To jest nienormalność, którą należałoby usunąć, otwierając rolnikom kredyt krótkoterminowy w kasach Banku państwa na zabezpieczenie tego spirytusu, który przecie jest pod ciągłą kontrolą urzędników akcyzy. Powinno to być uwzględnione, inaczej wyrażanie dobrych chęci przyjścia z pomocą rolnictwu będzie tylko czczym frazesem."

Wszystkie tego rodzaju fakty, wytwarzające zjawiska bardzo szkodliwe dla wielkiej grupy ludności, należałoby rzetelnie wyświetlić i ujawnić na przyszłym wiecu, zaprojektowanym przez sfery ministeryalne. Dlatego też pożądany jest jak najliczniejszy udział rolników w tym zjeździe, a nawet uwzględnienie nietylko uwag i wniosków osobistych, lecz także i listownych.

*) Wysychaniu.

O PRAWDĘ.

Odpowiedź na odpowiedź p. Mahrburga na mój artykuł: „Pewność sądów."

Kreśląc moje uwagi nad zapatrywaniami p. Mahrburga, dotyczącemi tego, co jest prawdą, a co prawdobieństwem, kierowałem się wyłącznie potrzebą wyjaśnienia zagadadnienia, które w tej formie, w jakiej ją przedstawił autor, nasunęło mi pewne wątpliwości. Spowiadając się z nich, miałem nadzieję, że wywołam ze strony p. M. odpowiedź spokojną, która, dając mi poznać właściwe stanowisko autora, tem samem usunie wszelkie nieporozumienie. Zamiast odpowiedzi spokojnej, spotykam się z namiętną filipiką, w której więcej jest dyalektycznej szermierki, niżeli krytycznego sądu. W swej szermierce tak dalece się zapędził p. M., że nawet nie spostrzegł, jak z jednej strony wpadł w skrajny sceptycyzm, z drugiej zaś w niemniej skrajny subjektywizm. Odmawiając bowiem wszelkiej pewności doświadczeniu, ogłasza jednocześnie, że jedyną wyrocznią w kwestyi prawdy jest indywidualna intuicya.

Nie będąc zwolennikiem dyalektycznej szermierki, przyznaję w niej pierwszeństwo p. M. Nie znaczy to atoli, żebym się uznał za pokonanego. Argumenty p. M. w niczem nie osłabiają moich przekonań, a to tem bardziej, że nierzadko bywają one skierowane przeciwko mniemaniom, które nie są moje, lecz zostały mi tylko łaskawie podsunięte dzięki zręcznemu wyzyskiwaniu moich ścisłych wyrażeń, albo po prostu wadliwości samej mowy. Dlatego też, zanim zejdą z pola, pozwalam sobie zamieścić tu kilka uwag, które może przyczynią się do głębszego wyrozumienia rzeczy.

Podług p. M. sądy w zakresie logiki i matematyki są rodzajowo różne od sądów z zakresu doświadczenia. Skoro tak, to jakiem prawem stosuje on do nich tę samą miarę? Należą one do różnych sfer, z których każda ma właściwy sobie miernik. Jeżeli w sferze rozumowej prawdami są pewniki logiczne i matematyczne, to w sferze realnej prawdami są pewniki doświadczalne. Pierwsze są prawdami idealnemi, drugie — rzeczowemi. Są to prawdy względne, każda w swojej sferze. Jakoż, jeżeli dla czystego rozumu prawa przyrody pozbawione są wszelkiej pewności, to dla rozumu praktycznego — pojęcia logiczne i matematyczne są fikcyami. W rzeczywistości bowiem nie masz ani tożsamości, o jakiej nam mówi logika, ani punktów, linij i płaszczyzn, o jakich nas uczy matematyka. Są to wszystko abstrakcye umysłowe takie same, jakie spotykamy w doświadczeniu, które nie jest niczem więcej, niż zbiorem, mniej lub więcej usystematyzowanym, pojęć i sądów, jakie ludzkość w przebiegu wieków wyrobiła o rzeczywistości. Doświadczenie więc jest wytworem tego samego umysłu, który jest także twórcą logiki i matematyki. Jeżeli źródło ich jest to samo, to skąd między niemi może być tak wielka różnica? Podług Hume'a różnica ta pochodzi stąd, że prawdy logiczne i matematyczne są ze swej natury analityczne—i dlatego *rozumowo* konieczne; prawdy zaś doświadczalne są syntetyczne — i rozumowej konieczności nie mają, jakkolwiek mają konieczność *praktyczną*. Inaczej rzecz tę pojmuje p. M. Podług niego pewniki logiczne i matematyczne mają swe źródło w intuicyi, kiedy tymczasem podstawę doświadczenia stanowią postrzeżenia zmysłowe. Czem jest atoli ta intuicya— tego p. M. nie wyjaśnił. A przecież powinien był to uczynić ze względu, że bywa ona różnie pojmowaną. Co innego przez nią rozumiał Leibnic, a co innego Kant, a już zgoła odmiennie od nich zapatrywał się na nią Jacobi. Z temi różnicami i dzisiaj spotykamy się. Nareszcie psychologowie ze szkoły doświadczalnej utożsamiają ją z postrzeganiem zmysłowem.

Spór o to, co ma być nazwanem prawdą, a co prawdopodobieństwem, nie wart byłby zachodu, gdyby w nim szło tylko o nazwę. Doniosłość jego atoli sięga znacznie dalej. Chodzi w nim o to, jaką pewność możemy przyznawać temu, czego nas uczy doświadczenie. Podług p. M. doświadczenie jest tak zmienne i niepewne, że człowiek wobec niego jest jak ślepy, który tego tylko jest pewnym, czego się domacać może, i tylko tak długo, jak palcami się dotyka. Utrzymuje on, że gdyby mu kiedy powiedziano, że jakiś chemik wytworzył wino z tlenu i wodoru, zamiast wody, wcale by się temu nie zdziwił. Przeczyć temu nie mam prawa. Zdaje mi się jednakż , że dla znawców chemii fakt tego rodzaju byłby cudem.

Zarzuca mi p. M., że dogmatyzuję prawa przyrody. Zarzut niesłuszny. Utrzymuję tylko to jedno, że w tych samych warunkach zawsze te same muszą występować zjawiska. Twierdzenia tego bynajmniej nie osłabia słuszna skąd inąd uwaga, że nie znamy wszystkich warunków i nie wiemy, które z nich są normalne. Że twierdzenie to jest słuszne, dowodzą tego wszystkie wynalazki, które polegają na znajomości warunków, w jakich ciała objawiają te lub inne własności, w jakich siły przyrody tak lub inaczej działają. Nie mając pewności, że po wytworzeniu pewnych warunków otrzymamy z użytych sił taki a nie inny skutek, czy moglibyśmy pożytecznie pracować w jakimkolwiekbądź zawodzie życia praktycznego? Gdyby nie pewność, że to, co się działo dotąd, dziać się będzie i w przyszłości w tych samych warunkach, czy znaleźlibyśmy w sobie dość energii do wszelkiego rodzaju doświadczeń, przedsiębranych w oznaczonym celu? Bez tej pewności nie moglibyśmy, pogrążeni w bezgranicznej niepewności, siedzieć z założonemi rękami, czekając, aż pieczone gołąbki same wpadną do gąbki.

W artykule swym zaznaczyłem wyraźnie, że konieczność, jaką przyznajemy sądom matematycznym, ma swą przyczynę w ich powszechności. Że powszechność sądu jest jedynym warunkiem jego konieczności, bez względu, czy ten sąd będzie czysto rozumowym, czy na doświadczeniu opartym, przekonywa nas o tem prawo powszechnego ciążenia. Kto raz pojął dokładnie, co stanowi istotę tego prawa, dla tego ma ono taką samą pewność, jaką dla matematyka jego pewniki, i gdyby mu ktoś zaproponował przejażdżkę balonem do księżyca, uznałby go bez wahania za waryata. Tak samo postąpiłby mechanik, gdy by ktoś zażądał od niego zbudowa. *perpetuum mobile*, gdyż zasada zachowania energii poucza go, że zadanie takie jest niemożliwe.

Niezawodnie, że nasza znajomość własności ciał i sił przyrody jest bardzo względna. Znamy je tylko w pewnych, ściśle oznaczonych warunkach, poza którymi rozpoczyna się kraina niewiedzy: ale w tych warunkach, w jakich je zbadaliśmy, znamy je z taką samą pewnością, jak i prawdy matematyczne. Wprawdzie, umiejąc odpowiedzieć, jak się rzeczy dzieją, nie możemy odpowiedzieć, dlaczego tak się dzieją. Lecz podobnież dzieje się z logiką i matematyką. Dlaczego tożsamość tak a nie inaczej pojmujemy, dlaczego punkt matematyczny pojmujemy jako nierozciągły, jedyną na to odpowiedź znajdujemy w tem, że taki jest ustrój naszego umysłu. Taką samą odpowiedź musimy dać, gdy chodzi o pytanie, dlaczego z tlenu i wodoru w pewnych ściśle oznaczonych warunkach powstaje woda, a nie wino. Taki jest porządek świata, który muszę uznawać za stały i obowiązujący mnie, gdyż innego nie znam; nie widzę powodu, dlaczegoby miał się stać innym w przyszłości.

Z jak lekkiem sercem przypisuje p. M. swemu przeciwnikowi mniemania, o jakich mu się nie zamarzyło, dowodem tego jest twierdzenie, że ja, mówiąc o wzajemnem na się oddziaływaniu zjawisk przyrody, mam na myśli prawo przyczynowości w jego metafizycznem rozumieniu — i robi uwagę, że o oddziaływaniu zjawisk mowy być nie może, gdyż nie wiemy, na czem ono polega. Że nie wiemy, na czem to oddziaływanie polega, na to zgoda, stąd atoli nie wynika, żebyśmy nie mieli prawa posługiwać się wyrazem oddziaływanie dla oznaczenia pewnego stosunku rzeczy, przez doświadczenie stwierdzonego. Z wyrazem tym spotykamy się zresztą we wszystkich naukach. Posługuje się nim fizyka, chemia, biologia i t. d. Zawadza p. M. nawet to, że mówiąc, iż w tych samych warunkach zawsze te same muszą wystąpić zjawiska, użyłem wyrazu *zawsze*, albowiem podług niego logika czasem nie zajmuje się. Gdybym mówił o zasadach logiki, miałby p. M. słuszność, ale ja zajmuję się wyłącznie doświadczeniem i jego warunkami, a sam p. M. przyzna, że doświadczenie bardzo skrupulatnie musi liczyć się z czasem, że stanowi on jeden z najważniejszych jego warunków tak samo, jak i przestrzeń.

Nie chcąc przedłużać polemiki, która na nic się nie przyda, gdyż każdy z nas zostanie przy swojem, kończę ją, pomijając mniej ważne twierdzenia p. M., chociaż i one zasługiwałyby na odpowiedź. Lecz nie chodzi mi o moją osobę, ale o poruszoną przeze mnie kwestyę. To, com o niej powiedział, wystarczy, sądzę, do wyjaśnienia, jak ją pojmuję. Czy pojmuję trafnie? Wyrok o tem pozostawiam komu innemu.

Władysław Kozłowski.

W DALI.

Kijów. Na skutek wystąpienia opieki szlacheckiej berdyczowskiej i rządu gubernialnego kijowskiego, senat rządzący w tych dniach wydał pozwolenie sprzedaży przymusowej całości dóbr Berdyczów, do których należy i miasto. Dobra Berdyczów posiadają trzech właścicieli: hrabinę Tyszkiewiczową ($^3/_6$), kupców Jenni ($^2/_6$) i Rukawicznikowów ($^1/_6$). Działy, znajdujące się w posiadaniu hr. Tyszkiewiczowej i kupców Jenni, są obciążone znacznymi długami, mianowicie na współwłasności hr. Tyszkiewiczowej dług wynosi niespełna 213,000 rs., a procent zaległy od tej sumy sięga *547,700* rs.; na dziale zaś Jen-

nich dług wynosi 810,690 rs., odsetki zaległe 2,338,000 rs. Część Rukawicznikowów jest wolna od długów. Celem zlikwidowania majątku i prawidłowego pokrycia długów, dobra Berdyczów, zgodnie z ukazem senatu rządzącego z d. 28 października 1844 r.. oddane były pod dozór rady opiekuńczej, pod której zarządem znajdował się też majątek hr. Tyszkiewiczowej Jawór w gub. Grodzieńskiej. Pomimo to, długi, ciążące na majątku, nietylko nie zmniejszały się, lecz, przeciwnie, rosły niepomiernie. Taki stan rzeczy wywołał starania naprzód ze strony wierzycieli, a następnie i właścicielki głównej co do przymusowej sprzedaży łącznej całego Berdyczowa, ażeby uniknąć tym sposobem obniżenia wartości majątku przez jego rozdrabianie. Obecnie, jak donoszą pisma, senat rządzący na taką sprzedaż zezwolił. — Ks. Meszczerski opisuje w *Grażdaninie* wypadek, który się przytrafił pewnemu „pośrednikowi mirowemu" (gminnemu) w guberniach południowo-zachodnich. Zapragnął on zostać właścicielem ziemskim. Postanowił kupić wielką fortunę — bez pieniędzy i wszedł w układy z pewnym „panem polskim" o majątek, wartości 400,000 rs, które miał spłacić ratami. Pierwszą w sumie 7,000 rs. wnieśli włościanie, do których zwrócił się za pośrednictwem sołtysów. Gdy przyszedł termin spłacenia raty drugiej 10,000 rs., włościanie odpowiedzieli: „nie damy, dopóki poprzedniej sumy nie zwróci." Rozgniewany pośrednik zaczął nieposłusznych do kozy sadzać i sadzałby może dalej, gdyby nadużycie nie doszło do wiadomości generał gubernatora kijowskiego. Generał Dragomirow osobiście śledztwo zarządził i p. pośrednik znalazł się w więzieniu. Na podstawie tego wypadku *Graż.* wyprowadza wniosek o potrzebie energicznego karania wszelkich nadużyć i bezprawi. Przy sposobności zaś ks. M. rozważa stosunki w Królestwie Polskiem i w guberniach zachodnich wogóle. Notatkę *Graż.* przedrukowały inne dzienniki.

Petersburg. Zasadnicze żądania zjazdu dyrektorów szkół zawodowych są następujące: W szkołach przemysłowych wszelkich typów i zawodów należy powiększyć wiek uczniów, ulepszyć i ułatwić sposoby doglądania prac uczniów przez skrócenie liczby egzaminów i wprowadzenie odpowiednio urządzonych repetycyi. Od uczniów szkół rzemieślniczych trzech typów należy wymagać większego przygotowania ogólnego: We wszystkich szkołach, oprócz średnich technicznych i niższych rzemieślniczych, należy wzmocnić wykład przedmiotów specyalnych bez rozszerzania planu szkolnego, lecz przez powiększenie ilości godzin zajęć praktycznych. Kończącym szkoły zawodowe zapewnić nieco większe prawa. Między innemi zwrócono uwagę na stronę wychowawczą, hygienę i wykłady rysunków. — W *Pet. Wied.* profesor instytutu w Nowej Aleksandryi, p. Skwarcow, zamieścił artykuł, krytykujący program politechniki kijowskiej. „Wogóle trzeba wyrazić żal — pisze p. S. — iż przy opracowaniu projektu urządzeń i etatów politechniki nadano widocznie zbyt wielkie znaczenie sprawie oszczędności w wydatkach i pominięto główne zadanie: utworzenia zakładu naukowego, możliwie najzupełniej odpowiadającego swojemu celowi." — *Pet. Wied.* przytaczają szczegóły z ostatniej urzędowej „Książki pamiętnikowej gubernii Grodzieńskiej:" „Na podstawie danych o urzędnikach — pisze gazeta — okazuje się, iż naczelnicy powiatów mogli już zapomnieć, ile lat służą. Tak np. jest ich 9-iu, urzędują zaś po lat 44, 34, 32, 31, 28 (dwóch), 27, 26, 25. Administrować w powiecie z ludnością 175,000 dusz przez lat 44, czyż to zadanie nie przekraczające sił ludzkich? A oto cenzus umysłowy sprawników (naczelnik powiatu) w gubernii: Jeden z nich ukończył seminaryum duchowne (służy od lat 28-iu), dwaj nie ukończyli wogóle gimnazium (służą po lat 28 i 25), dwaj kształcili się w szkole junkierskiej, jeden nie skończył szkoły podpraporszczyków gwardyi, trzej kształcili się tylko w szkole powiatowej. Co za anachronizm! Dla nieszczęśliwej gubernii Grodzieńskiej świat deskami zabity!" Pismo podaje tego rodzaju szczegóły o innych jeszcze grupach urzędników administracyi gubernialnej i powiatowej.

KRONIKA.

— *Przegląd katolicki*, spotwarzający od kilku tygodni czytelnie Towarzystwa dobroczynności za mniemaną ich bezbożność, posunął się w tym kierunku o krok, którego, zdaje się, jeszcze nie zrobiło żadne czasopismo u nas i który wywołał obrzydzenie już nietylko śród przyjaciół tego organu, ale nawet śród jego sprzymierzeńców. Oto ogłosił w ostatnim numerze „Chodziły niedawno pogłoski, *kto wie, czy mylne*, iż wieczorami (przed rewizyą urzędową) wynoszono pospiesznie z bibliotek książki różnej barwy." Wogóle ile jest słów w całym artykule *Przeglądu katolickiego*, tyle kłamstw, dających gorszący przykład w piśmie religijnem, którego redakcya zapewno odbyła niedawno spowiedź wielkanocną. Kłamstwa te są zuchwałe i niegodziwe, na żadnej podstawie nieoparte. Tak np. jako jeden z dowodów szkodliwości książek w czytelniach przedstawiony jest fakt, że je wybierał A. Świętochowski, który nigdy członkiem zarządu czytelni, a nawet członkiem Towarzystwa dobroczynności nie był. Wszakże to i temu podobne zmyślenia nie wychodzą jeszcze z granic zwyczajnej taktyki paszkwilu; dopiero denuncyacya, że wieczorami kierownicy czytelń wynosili paki z książkami w obawie odpowiedzialności przed władzą, kiedy ani jedna książka usunięta nie została, dopiero ta sztuczka wchodzi w sferę czynów, dla których trzeba mieć i wszędzie uczciwa opinia publiczna ma osobne piętno. Nie wiemy, jak odeprze tę napaść zarząd czytelń; według nas powinien on wytoczyć redaktorowi *Przeglądu katolickiego* proces nie dlatego, ażeby go ukarać więzieniem, ale żeby go ukarać publicznem stwierdzeniem wobec sądu kłamstwa.

Przestroga. P. J. Olechnowicz z Tomska w liście do *Kuryera warsz.* ostrzega mieszkańców Królestwa Polskiego i radzi, ażeby się nie udawali na oślep za Ural w poszukiwaniu pracy: „Główną podnietą do wyprawy na Syberyę jest przeświadczenie o wielkiem jakoby zapotrzebowaniu pracowników kolejowych. Otóż p. O. obala to mniemanie faktami: W r. z. do zarządu eksploatacyi kolei środkowo syberyjskiej wpłynęło przeszło 2,000 próśb o posady, miejsc wolnych zaś było zaledwie 500. „O miejsce na kolei Syberyjskiej tem trudniej, że w szeregu kandydatów stoją zesłańcy, pomiędzy którymi zdarzają się ludzie uzdolnieni i zasługujący na poparcie. Wobec takich warunków, wielu przybyszów z Królestwa Polskiego znalazło się w bardzo ciężkiem położeniu. W oczekiwaniu posady na kolei niejeden z nich wyczerpał już cały swój zapas pieniężny i musiał się zwracać do ofiarności publicznej o pomoc. Niektórzy porzucili w kraju posady lepsze, a dostali gorsze z pensyą, niewystarczającą na najskromniejsze utrzymanie."

Nowe towarzystwo. D. 18 b. m. całe posiedzenie sekcyi handlowej poświęcono sprawie „Towarzystwa wzajemnych informacyj kredytowych." Projekt tej instytucyi podał p A. Peretz jeszcze na posiedzeniu listopadowem r. r. Wybrana wówczas delegacya z 20 osób opracowała ustawę, która określa w sposób następujący zadania Towarzystwa: Celem jego jest dostarczanie zarówno członkom, jak i osobom postronnym, wszelkich informacyj o zdolności kredytowej: przemysłowców, rolników, kupców, rzemieślników i innych osób. Towarzystwo zakłada filie i agentury. Członkiem może więc zostać każdy przemysłowiec, rolnik, kupiec, rzemieślnik; o przyjęciu orzeka zarząd. Początkowy kapitał Towarzystwa określono na rs. 25,000, a ma on powstać z 250 udziałów 100-rublowych. Dopiero po zebraniu tej sumy Towarzystwo rozpoczyna działalność. Uczestnicy wnoszą jednorazowo na kapitał rezerwowy 15 rs. rocznie. Rozwiązanie Tow. nastąpi w razie zmniejszenia się liczby uczestników do 60. Prawa uczestnika nie przechodzą na spadkobierców. Czynności Towarzystwa: udzielanie informacyj o stanie majątkowym, stanowisku społecznem, sposobie prowadzenia przedsiębiorstwa, o moralności kupieckiej osób o które Tow. jest zapytywane, oznaczenie wysokości kredytu, jaki zdaniem jego może być udzielony tym osobom, a zarazem, o ile można, wskazanie miejsca, w którem dana osoba korzysta już z udzielonego sobie kredytu. Towarzystwo nie przyjmuje przytem żadnej odpowiedzialności za ścisłość swych wiadomości. Informacyj udziela ono nietylko członkom, lecz i osobom, firmom i instytucyom, stojącym po za jego obrębem. Członkowie są obowiązani zawiadamiać o każdej upadłości, zarząd, który sprawdza te dane a upewniwszy się o zawieszeniu wypłat, podaje sprawdzony fakt do wiadomości członków. Ostatecznie ustawę uchwalono i dla wprowadzenia jej w życie wybrano komisyę, do której należą pp.: St. Grodzki, Jul. K. Held, Rundstein. rejent Bar, H. Lewi, W. Weltisch, W. Rawicz, M. Reichman, Z Feilkind, adw. Weidel i A. Peretz.

Szkoły. Według orzeczenia ministeryum oświaty, uczniowie kończący kurs. klasy V wydziałów handlowych szkół realnych, mogą przechodzić do przemysłowych średnich tylko po zdaniu egzaminu dodatkowego w zakresie kl. V wydziału zasadniczego z matematyki i rysunków.

— Komitet Towarzystwa szerzenia oświaty między Żydami w Rosyi stara się o stworzenie „instytutu teologicznego rabinów, kaznodziei i nauczycieli," na wzór takich zakładów, istniejących za granicą.

— W Sosnowicach powstaje pensya wyższa sześcioklasowa żeńska. Kierowniczką jej będzie p. Antonina Drzewiecka.

Wystawy i zjazdy. D. 10 b. m. otwarto w Madrycie kongres hygieniczno-demograficzny.

Koleje i komunikacye. Od r. 1895 ministeryum komunikacyj otrzymuje rocznie 10 milionów rubli wyłącznie na budowę nowych kolei znaczenia miejscowego i linij dojazdowych. Starania osób prywatnych, miast, gmin itd będą uwzględniane, jeżeli interesowani dowiodą, że projektowana kolej odpowiada zarówno interesom państwowym, jak i miejscowym i że nie naraża skarbu państwa na straty.

— P. Janowi Gajewskiemu, przemysłowcowi, udzielono pozwolenie na zaprowadzenie komunikacyi towarowej i osobowej w gub. Kaliskiej i Piotrkowskiej za pomocą samochodów.

— Kolej Północna austryacka zgodziła się na wprowadzenie pociągów kuryerskich *(Süd-Express)* w komunikacyi: Petersburg—Warszawa—Wiedeń—Nicea—Cannes.

Katastrofa kolejowa. Pociąg osobowy kolei Kazańskiej rozbił się na stacyi Lubercy. Ośmiu podróżnych ranionych ciężko, pięciu — lekko. Przyczyną katastrofy parowóz zepsuty.

Zmarli. Karol Lichtański, w Warszawie, literat. Pisał studya w zakresie nauk społeczno-państwowych. Pozostawił kilka dzieł, traktujących o uregulowaniu stosunków polsko-rosyjskich.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu W. K. w Hulaj Polu. Wyczerpana.

Panu T. Sl. w Żytomierzu. *Lit. porówn.* w zeszytach już nie posiadamy.

K. G. Trzy zeszyty dodatku z przesyłką rekom. kosztują rs. 1.

Czytelnikowi Prawdy. Niech się Pan zwróci z tem pytaniem do redakcyi, która książkę wydała. Ona wie, a my dopiero musielibyśmy porównywać.

OFIARY.

Dla syna Klemensa Junoszy:

Studenci z N. Aleksandryi rs. 10.

— Siedmnasty rok z rzędu wypada nam odwołać się do ofiarności publicznej, w celu zapewnienia dzieciom najuboższej ludności Warszawy w ciągu lata r. b. dobrodziejstw świeżego powietrza i zdrowego posiłku. Zwiększając corocznie liczbę dzieci wysyłanych na wieś staraniem Kolonij Letnich, w roku ubiegłym dosięgnęliśmy pokaźnej cyfry 2150; stosunkowo do potrzeb i warunków naszego miasta jest to zaledwie część, która nie czyni zadość potrzebie. Zatwierdzone od roku przez JW. Ministra Spraw Wewnętrznych Towarzystwo z całą wiarą odwołuje się do naszego społeczeństwa, wiedząc dobrze, jak chętnie spieszy ono zawsze z pomocą potrzebującym. Kolonie letnie dotychczas istniały i rozwijały się kosztem zbieranych ofiar i w tym roku przeto przystępujemy do roboty z niezłomną nadzieją, że oczekiwania ubogich rodziców, niemogących własnymi środkami ratować swych dzieci, zawiedzione nie będą, a liczba wysłanych na wieś przewyższy dotychczasową. W celu zebrania potrzebnego funduszu odwołujemy się do wszystkich z uprzejmą prośbą, o przyczynienie się ofiarą do dzieła, którem wnosi się zdrowie i pociechę pod dach naszych uboższych braci. Ofiary składać prosimy na ręce skarbnika dyrektora Aleksandra Czajowicza w biurze Dyrekcyi Tow. Kred. Miejskiego (Włodzimierska 25) oraz w redakcyach pism.

Dr. Ciechomski Andrzej, Czajewicz Aleksander, Godlewski Stefan, Higersberger Wanda, Dr. Kosmowski Wiktoryn, Konic Henryk, Dr. Markiewicz Stanisław, Dr Natanson Antoni, Pawińska Jadwiga, Rotwand Stanisław, Szlenkier Jan, Dr. Tomaszewicz-Dobrska Anna, Wieniawski Julian, Ks. Woroniecki Mieczysław, Zakrzewski Adam.

— Komitet Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem na mocy odezwy kancelaryi Cesarskiej Akademii sztuk pięknych w Petersburgu, z d. 7 marca r. b. Nr. 739, podaje do wiadomości panów artystów malarzy, że zarząd Stowarzyszenia artystów monachijskich „Künstler Genossenschaft," urządza w Monachium doroczną wystawę w r. 1898, od d. 1 lipca do końca października i zaprasza pragnących przyjąć w niej udział, z nadmienieniem, że deklaracye mogą być nadsyłane do d. 30 kwietnia, dzieła zaś dostarczone być winny w czasie od 10 do 30 kwietnia r. b.

Szczegółowe warunki, szematy i karty dla zaopatrzenia niemi przesyłanych dzieł, znajdują się w kancelaryi Towarzystwa i na żądanie mogą być wydawane osobom interesowanym.

Wyszła z druku i jest do nabycia w redakcyi *Prawdy* książka

ZENONA PIETKIEWICZA

p. t.

SZKICE SPOŁECZNE.

(I. Nędza i miłosierdzie. II. Hygiena i życie. III. Kobieta. IV. Samobójstwo).

Str. 253.

Cena rs. 1 kop. 20, z przesyłką rekomendowaną rs. 1 kop. 40.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 10 Апрѣля 1898 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.